Compos mentis

*Silver Scale*

Kategoria: szkoły ponadgimnazjalne

*Utwór ten chciałabym zadedykować moim przyjaciołom, bez których mniej lub bardziej świadomej pomocy to opowiadanie nigdy nie zostałoby skończone.*

Spis treści

[Prolog 4](#_Toc507361055)

[Rozdział I – Jak żyć, jak umierać 5](#_Toc507361056)

[Rozdział II – Najciemniej pod latarnią 13](#_Toc507361057)

[Rozdział III – Roszpunka 17](#_Toc507361058)

[Rozdział IV – Historia lubi się powtarzać 23](#_Toc507361059)

[Rozdział V – Otwórz oczy 32](#_Toc507361060)

[Rozdział VI – Powroty 38](#_Toc507361061)

[Rozdział VII - Zryw 43](#_Toc507361062)

[Rozdział VIII – Nieoczekiwane spotkania 49](#_Toc507361063)

[Epilog 52](#_Toc507361064)

# **Prolog**

Obudził się, kaszląc.

Na początku nie dotarło do niego, co się działo. Dym ranił jego oczy i drogi oddechowe, ale przecież to nic takiego… Czekaj, dym?! Przypomniał sobie ostatni sen i spróbował krzyknąć, ale to spowodowało tylko większy atak kaszlu.

Zerwał się z łóżka. W całym mieszkaniu było ciemno i przeraźliwie gorąco. Podświadomie skierował się do sypialni rodziców. Chciał wybić drzwi kopniakiem, ale to nie było możliwe – drewno stało w ogniu.

– Mamo! Tato! – krzyknął rozpaczliwie. Nie dostał odpowiedzi. – Proszę!

Z sufitu poleciały iskry. Wrzasnął z bólu i opadł na kolana. Miał wrażenie, jakby jego twarz płonęła żywym ogniem, ale po chwili zrozumiał, że był w błędzie – temperatura w pomieszczeniu wzrosła i wtedy bolała już nie tylko twarz.

Stanął na chwiejnych nogach. Otarł nagromadzone od dymu łzy. Rzucił przelotne spojrzenie na pomieszczenie, w którym się znajdował. Poczuł wbijający się w serce nóż, gdy spojrzał na ogień trawiący wszystko: kwietnik, zdjęcia, skórę upolowanego przez niego dzika i wiele, wiele innych…

Powoli tracił przytomność. W oczach ponownie zgromadziły się łzy. To miał być jego koniec? Czy mógł tylko stać w miejscu, które tak bardzo kochał?

Tak. Kapitan idzie na dno ze swoim okrętem.

W pewnym momencie z płonącego sufitu oberwała się belka. W ułamku sekundy znalazła się po drugiej stronie zadymionego pokoju i uderzyła w niego. Przeleciał jak szmaciana lalka. Poczuł, że rozbija szybę, a odłamki szkła wbiły się w jego nagie plecy, rozrywając skórę. Opór powietrza nieco łagodził ból, ale oznaczał coś gorszego – Corrigan spadał z trzeciego piętra i nic nie zapowiadało jakiegokolwiek ratunku. Ze strachu otworzył szeroko oczy i usta. Przez moment, tuż przed upadkiem, miał wrażenie, że na dachu ktoś stoi.

# Rozdział I

# Jak żyć, jak umierać

Obudził go dźwięk szpitalnej lampy (a było to naprawdę stare, głośne i wielkie cholerstwo). Próbował się podnieść, ale nie mógł z powodu kilkudziesięciu rurek przyczepionych do jego twarzy lub rąk. Nogi pulsowały ostrym bólem, nawet nie próbował nimi poruszyć. Reszta ciała mniej lub bardziej piekła.

Powoli otworzył oczy. Światło go oślepiło, więc je zamknął i dopiero po chwili znowu spróbował. Rozejrzał się po sali. Była utrzymana w ciepłych kolorach, ale wyczuwał chłód bijący od białych urządzeń, utrzymujących go przy życiu. Próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko głuchy jęk. Był sam, nikt go nie słyszał.

Na szczęście nie musiał czekać długo. Młoda pielęgniarka, która przyszła pogrzebać w aparaturze i kroplówkach, zobaczywszy, że jest przytomny, wydała z siebie jakiś nieodgadniony okrzyk radości i wybiegła z pokoju. Wróciła z lekarzami. Zaczęli dyskutować, patrzeć w papiery i na monitory. Starał się ich słuchać, ale w głowie mu buczało. Na usta cisnęła się masa pytań, których z powodu rurek nie mógł zadać.

\*\*\*

Przez kilka dni udało mu się zebrać nieco informacji. Dzięki haftowi na pościeli poznał nazwę szpitala. Pielęgniarka, którą zobaczył jako pierwszą, wyznała, że niedługo wyjmą mu rurki i będzie mógł się komunikować, a inny, leżący na sali pacjent, paplał o nowym serialu Netflixa z siwym gościem z dwoma mieczami. Lekarze natomiast poinformowali go o sytuacji zdrowotnej: złamane obie nogi, wstrząśnienie mózgu oraz niewiarygodnie lekko poparzone ciało. Jeden z nich przysiadł do niego i powiedział:

– Chłopcze, jesteś niespotykanym medycznym przypadkiem. Jak mogłeś wypaść z trzeciego piętra płonącego domu, jedynie połamać nogi oraz nabawić się oparzeń podobnych do oblania zupą?

Corrigan nie umiał odpowiedzieć.

\*\*\*

W końcu doczekał zdjęcia większości aparatury, dzięki czemu mógł zadać pytanie, które mroziło jego myśli od czasu przebudzenia:

– Gdzie są moi rodzice?

Cały czas karmił się myślą, że oni też wyskoczyli przez okno. Albo oglądali serial i postanowili wyjść do sklepu po popcorn. Albo zdążyli uciec, zanim ogień się rozprzestrzenił. Albo strażacy zdążyli ich wyciągnąć. Cokolwiek. Obecny przy łóżku policjant przełknął ślinę:

– Nie żyją. Przykro mi.

Nadzieja Corrigana pękła jak balonik.

– Znaleziono dwa trupy w mieszkaniu, z którego pan wypadł. Prowadzone są testy DNA, ale prawdopodobieństwo, że były to inne osoby niż pańscy rodzice, jest niewielkie. Proszę przyjąć moje kondolencje.

Chłopak z bólem kiwnął głową. Poczuł suchość w gardle i wilgoć w oczach. Warga zaczęła mu drgać, a ciało przeszył dreszcz.

\*\*\*

Musiał przyznać, że ktokolwiek sprawował nad nim opiekę, stanął na wysokości zadania. Przeniesiono go do innej sali, gdzie nikt go nie niepokoił, a pielęgniarka była na każde jego wezwanie. Załatwiono mu też wizytę psychologa: pani doktor Alexandra Mountain była pulchną młodą kobietą o falowanych, brązowych włosach sięgających pasa i czarującym uśmiechu. Po kilku dniach spotkań z nią czuł się trochę lepiej.

– Dlaczego to musiało mi się przydarzyć? – zapytał po raz setny. – Może gdybym postąpił inaczej, nikt by nie zginął...

– Nie obwiniaj się za to, nie mogłeś mieć na to wpływu. To był wypadek.

– Nie wiesz wszystkiego – wydusił z siebie.

– Czego nie wiem?

Spojrzał w jej duże, orzechowe oczy, w których kryła się ogromna serdeczność. Ufał jej.

– Pożar mi się przyśnił – wyszeptał tak, że ledwo mogła go usłyszeć. Zamrugała gwałtownie.

– Jesteś pewien, że to był…

– Tak. Dokładnie ten sam. Jestem pewien.

Skupiona pokiwała głową.

– Zdarzało Ci się to wcześniej? Widzieć coś we śnie, co później się stało?

Zamyślił się. Nigdy nie zwracał na to uwagi – szkoła wyciskała z niego siódme poty, nie miał czasu myśleć o snach. Może były, może nie. Dopiero ten, tak przerażający i realny, wbił mu się w pamięć.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo otworzyły się drzwi i do pokoju weszły pielęgniarka i kobieta w czarnym żakiecie.

– Dzień dobry, pan Corrigan Atterberry?

– Tak.

– To dobrze. Nazywam się Britney Wheat i wyznaczono mnie do sprawy znalezienia panu nowego opiekuna prawnego oraz powiadomienia pana o pańskiej sytuacji majątkowej – zaczęła bez przeciągania. Druga kobieta wywróciła oczami i wyszła. – Sprawdziłam wszystkie dostępne bazy danych i napisałam do wszystkich Twoich żyjących krewnych. Powiadomiłam o ich pańskiej sytuacji i poprosiłam, aby zastanowili się w sprawie adopcji.

– Co? – nie zrozumiał, o co jej chodziło. Urzędniczka spojrzała w górę, zniecierpliwiona, jakby musiała tłumaczyć najprostsze zdanie.

– Przed ukończeniem pełnoletniości musisz mieć opiekuna prawnego. Ponieważ twoi rodzice są martwi, muszę ci znaleźć innego.

Corrigan pomyślał, że jest nietaktowna i nadgorliwa. Wolał, aby sprawy ważne dla jego przyszłości były z nim uzgadniane na samym początku.

– Dlaczego nie mogę zamieszkać sam? Wiem, ile rodzice mieli pieniędzy. Mogę też pra…

– Bo nie możesz – przerwała mu. – Dopóki nie osiągniesz pełnoletniości, twoje pieniądze są zamrożone, a ty musisz mieć opiekuna. Taka była wola twoich rodziców i ich umowa z bankiem.

– Co to za idiotyczne przepisy? – wtrąciła się Alexandra, ale Britney uciszyła ją skinieniem dłoni.

– Proszę się nie wtrącać, prawo i takie umowy tworzą ludzie mądrzejsi od pani.

Alexandra zaczerwieniła się, ale umilkła.

– Wracając… To jest lista ludzi, którzy odpowiedzieli na wiadomość, a po rozmowie zgodzili się przyjąć pana pod swój dach.

Podała mu kartkę. Widniało na niej tylko jedno nazwisko – Ophelia Pherr. Corrigana zabolało serce. Wydawało mu się, że miał całkiem dobry kontakt z rodziną. Do jego domu ciągle przybywały chmary wujków, kuzynów i ciotek, z najbliższymi spędzał czas po szkole i tak dalej. A teraz nawet się nie skontaktowali? Dopiero po chwili przypomniał sobie, że przecież nie chciał z nikim rozmawiać. Zbył milczeniem wszystkich, którzy przyjechali do niego. Postanowił przeprosić ich przy najbliższej okazji.

– Kto to jest?

– Siostra twojej matki.

Musiał głęboko grzebać w pamięci, zanim sobie ją przypomniał.

– Chyba pamiętam jej córkę, Beatrice. Była w moim wieku

– Możliwe.

Podała mu następne dokumenty – kilka kartek spiętych zszywką.

– To jest umowa między tobą a twoją ciotką. Przeczytaj ją, a jutro przyjdę i powiesz mi, czy chcesz na nią przystać.

Wstała, zebrała rzeczy, po czym udała się do wyjścia na odchodne dodając:

– Pamiętaj, że tylko państwo Pherrowie zgodzili się przyjąć cię pod swój dach.

I już jej nie było. Alexandra ze złością trzasnęła za tamtą drzwiami:

– Babsztyl bez serca.

Zaczęła gadać na urzędniczkę, ale Corrigan nie zwracał uwagi na jej słowa. Skupił się na ciotce i jej córce.

Pamiętał, że mieszkały wraz z ojcem dziewczynki, tym samym ówczesnym mężem Ophelii niedaleko niego, dzięki czemu Beatrice przychodziła do niego się pobawić. Uwielbiał spędzać z nią czas, być przy niej, gdy się cieszyła, ocierać jej łzy, gdy płakała… Chociaż to mógł zrobić jako pięciolatek. Bowiem w tamtym właśnie okresie obie zniknęły, a dopiero po kilku latach i setkach pytań, dowiedział się od rodziców prawdy. Samej ciotki nie pamiętał prawie wcale. Bardziej z opowieści rodziny albo ze zdjęć, które jego mama trzymała w albumie na dnie szafy i bardzo próbowała ukryć. Ophelia zakochała się w innym. Zabrała córkę i uciekła od męża, zostawiając za sobą papiery rozwodowe. Dziadkowie bardzo psioczyli zarówno na nią, jak i jej gacha. Twierdzili, że jest diabłem, który zniszczył życie ich córce. Corrigan nie myślał o nim za wiele, bo po co, skoro przeżywał szczęśliwe życie bez jego udziału, ale jeśli już to robił, podzielał zdanie dziadków. W końcu jak człowiek, który uwodzi dobrą dziewczynę z dobrego domu i odrywa ją od kochającego męża, może nie być uznany za złego? Był jednak pierwszą i jedyną osobą, która zaproponowała przyjęcie sieroty pod swój dach. Nie mógł być tak piekielny, jak twierdzono. Może to i lepiej? Nareszcie spotka Beatrice. Jeszcze raz odtworzył jej obraz w pamięci. Wszyscy mówili, że są jak rodzeństwo. Te same rysy, oczy… Włosy mieli inne. Dziewczynka nosiła kasztanowe, lekko kręcące się włosy związane w dwie kiteczki, podczas gdy jego proste, orzechowe ścinane były na pazia. Miała też pełniejsze usta. Ciekawe, jak wygląda teraz? *Na pewno wypiękniała*. Miał nadzieję, że ona również o nim pamiętała. Uśmiechnął się, po raz pierwszy od pożaru.

*Beatrice nie mogła bardzo się zmienić. Jeśli ona będzie przy mnie, nie muszę się niczego obawiać,* pomyślał i poczuł, jak spokój wypełnia jego duszę.

\*\*\*

Denerwował się. Gdyby nie miał nóg w gipsie, byłyby jak z waty. Próbował podnieść szklankę wody, ale ręka za bardzo mu się trzęsła. Bez sił opadł na poduszki. Przymknął powieki, próbując uspokoić się, myśląc o kuzynce.

Do pokoju ktoś zapukał, a potem otworzyły się drzwi i weszły trzy osoby: Pielęgniarka, kobieta oraz mężczyzna.

– Corrigan, ci państwo to Lucian i Ophelia Pherrowie.

Ciotka była bardzo podobna do jego matki. Miała te same błękitne oczy i zadarty nosek, a na jej policzkach pojawiały się delikatne rumieńce. Była chuda, wręcz koścista, a kruczoczarne włosy układały się w fale do ramion. Wyglądała bardzo ładnie, ale Corrigan pomyślał, że jego mama w prostych włosach do pasa wyglądała lepiej, a delikatna warstwa tłuszczyku zachęcała do przytulania. Jej mąż nie prezentował widoku, jaki przedstawiali mu dziadkowie. Kozia bródka, elegancko ulizane czarne włosy i wydatne kości policzkowe mogły nadawać mu nieco piekielnego wyglądu, ale szeroki uśmiech i wesołe iskierki w oczach sprawiały, że wyglądał raczej na miłego gościa.

Podeszli do łóżka chłopaka. Pani Pherr pocałowała go w czoło i pogładziła po ręce.

– Mój ty malutki biedaczku…

– Dzień dobry, proszę pani.

– Mów mi ciociu, skarbeńku – uśmiechnęła się. – Zaopiekujemy się tobą.

– Tak – dodał pan Pherr. – Najlepiej jak możemy.

Ciotka powiedziała, że pójdzie po wypis i wykaz leków, rehabilitacji czy co to tam było, bo wszystko inne już ma, a wuj przygotuje go do wyjazdu.

Corrigan dostał do ubrania t–shirt z logo zespołu rockowego, skórzaną kurtkę i nieco za duże w pasie dresy (za to idealne w miejscach, gdzie miał gips). Lucian pomógł mu usiąść na wózku inwalidzkim, zarzucił torbę z rzeczami chłopaka na ramię i wyprowadził go przed budynek, gdzie czekała na nich Ophelia. Udali się do czarnego samochodu z przyciemnionymi szybami. Lucian posadził Corrigana z tyłu. Poczuł się upokorzony, że obcy człowiek podnosi go jak szmacianą lalkę, ale musiał to znieść. Nie miał wyboru.

Ruszyli. Patrzył się przez okno, drzewa, budynki i samochody migały mu przed oczami. Przypomniał sobie, jak pędził podobną trasą z rodzicami, gdy śpiewali wesoło, jadąc na wakacje. Żal ścisnął mu gardło. W oczach zgromadziły się łzy.

*Corrigan, człowieku, ile ty masz lat? 16 czy 6?* - odezwał się głosik w jego głowie. *Ogarnij się, nie pójdziesz do przodu, oglądając się za siebie. A tego w tym momencie najbardziej potrzebujesz.*

Westchnął głęboko. To nie był czas na użalanie się nad sobą. *Czas pozbyć się wiecznie czerwonych oczu i chrypki*, pomyślał. *Tak wyglądając, nie wywrę na Beatrice dobrego wrażenia.* Chociaż otarł łzy, nadal czuł, jakby był trzymany za gardło.

Wyjął półeczkę z siedzenia przed nim i położył na niej skrzyżowane ramiona, a następnie głowę. Pherrowie nic nie mówili, a lekkie turkotanie samochodu działało na niego usypiająco.

Nagle usłyszał, że ktoś zaczął się śmiać. Opętańczo, szalenie. Corrigan zasłonił uszy, jęknął, a w końcu wrzasnął, ale śmiech nie ustał, stał się głośniejszy, szybszy. Straszniejszy. Chłopak krzyczał, ile miał sił w płucach, ale nie mógł zagłuszyć tamtego okropnego dźwięku.

W końcu przestał. Szybko łapał powietrze, jak ryba wyciągnięta na piasek. Wtedy śmiech ucichł.

– Pomóż mi, błagam… – usłyszał tylko.

Sekundę potem znów był w samochodzie, wbity w oparcie. Wszystkie ranki, ledwo zasklepione po wyjęciu z nich szkła, pulsowały ostrym bólem. Ciotka siedziała odwrócona do niego ze szczerym przerażeniem wymalowanym na twarzy, a Lucian patrzył na drogę.

– Corrigan, co się stało? – zapytała drżącym głosem. Zacisnęła palce na oparciu fotela.

– Nic, ciociu – powiedział. – Zły sen. Już nawet nie pamiętam, o czym był. Niech się ciocia nie martwi.

Ophelia zrobiła smutną minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale milczała. Odwróciła się w stronę przedniej szyby. Corrigan otarł sobie pot z czoła. Odetchnął jeszcze raz. Oparł głowę o szybę, ale tym razem wyjątkowo starał się, żeby nie pojawiły się żadne wspomnienia. Reszta drogi minęła spokojnie.

Do domu Pherrów dojechali wczesnym wieczorem. Ich willa znajdowała się w głębokim lesie, a szkoda, bo na pewno poprawiłaby wygląd niejednego miasta. Największą uwagę zwracała wieża od południowej strony domu, z widokiem na las (a przynajmniej tak przypuszczał – od strony wjazdu nie było okien), nadając willi iście królewskiego wyglądu. Gdy zajechali pod drzwi wejściowe, ze środka wyłoniły się cztery osoby. Serce zabiło Corriganowi mocniej. Czy jedną z nich była Beatrice?

Siwy mężczyzna w garniturze i białych rękawiczkach pomógł wyjść Ophelii z samochodu, po czym wystawił wózek z bagażnika. Corrigan zacisnął zęby, gdy Lucian sadzał go na nim.

Gdy zbliżali się, poczuł zawód. Wbrew jego oczekiwaniom, przed drzwiami stały tylko dwie dziewczynki, będące kopiami swojego ojca oraz mulatka w stroju pokojówki. Corrigan nie chciał z nimi rozmawiać. Na przywitanie odpowiedział skinieniem głowy i poprosił, aby zawieziono go do jego pokoju.

Jechał przez eleganckie korytarze. Z tyłu domu ukryta była winda, co Corrigan uznał za uśmiech losu albo przewidującego architekta.

– Miło mi panicza poznać – odezwał się lokaj. – Proszę mówić mi Alfred.

Corrigan skinął głową.

– Jeśli będzie panicz potrzebował czegokolwiek, proszę zadzwonić dzwonkiem przy łóżku, a ktoś ze służby od razu się pojawi.

Otworzył drzwi. Pokój pewnie był ładny, ale na to już Corrigan uwagi nie zwracał. Gdy tylko lokaj podniósł go z wózka inwalidzkiego i położył na łóżku, nastolatek wtulił się w poduszkę i zasnął. Tym razem obyło się bez koszmarów.

Rano to właśnie lokaj przyszedł pomóc Corriganowi doprowadzić się do porządku, po czym zjechali na śniadanie. Reszta rodziny już czekała.

– Jak ci się spało? – zapytała Ophelia z uśmiechem. – Chcesz jajecznicy? Bekonu? A może naleśników?

– Poproszę – powiedział nieśmiało. Znikąd pojawiła się Gwen i przed nosem chłopaka wylądowały talerze z parującymi potrawami. Był głodny jak wilk. Gdy jedzenie wypełniło jego żołądek, poczuł się jak w domu. Poczuł też odwagę, by zapytać o coś, co miał w głowie odkąd zobaczył stojących na progu domowników.

– Pozwól, ciociu, że zapytam – zaczął. – Gdzie jest Beatrice?

Ophelia przez dwie sekundy wyglądała, jakby ją piorun strzelił.

– Beatrice jest przerażająca! – krzyknęła Aureline, grzebiąc widelcem w sałatce. Jenny roześmiała się złośliwie. Ojciec uciszył je ruchem ręki.

Corrigan zmarszczył brwi. Pamiętał Beatrice z dzieciństwa. Jak ta uwielbiana przez wszystkich żywa, ruchliwa i wesoła dziewczynka, stała się osobą, z której drwią nawet młodsze siostry?

– Ach, Beatrice… Choruje od wielu lat – powiedziała wymijająco. – W niektórych momentach nie ma z nią kontaktu.

– Och.

To by wiele wyjaśniało.

– Mogę się z nią zobaczyć?

– Niestety nie – odpowiedział Lucian. – Obawiam się, że nie jest w odpowiedniej kondycji psychicznej.

– Nie chcemy, żeby cię zaatakowała, prawda? – dodała Jenny. Corrigan nie mógł uwierzyć własnym uszom. Zignorował jej słowa i ponownie zaczął:

– Błagam, tak bardzo chciałbym się z nią zobaczyć...

– NIE!!! – ryknęła Ophelia.

Jej reakcja wbiła go w oparcie. Wstała, ale pochylając się nad stołem, opierała zbielałych od zaciskania pięści na blacie. Wreszcie, opuszczając głowę, zasłoniła się kurtyną czarnych włosów. Dyszała ciężko, jakby przebiegła spory dystans. Po chwili ciszy wyprostowała się. Jej twarz nadal była czerwona. Podziękowała wszystkim za posiłek i wyszła, trzaskając drzwiami.

– Chłopcze – zaczął jej mąż groźnie. – Nie pytaj więcej o dziewczę zwane Beatrice.

# Rozdział II

# Najciemniej pod latarnią

Następnego ranka obudziła go ciotka. Przyszła z promienistym uśmiechem na bladej twarzy i srebrną tacą z różnymi pudełeczkami. Corrigan potarł opuchnięte oczy. Nie spodziewał się jej przyjścia, a już na pewno nie o tej godzinie. Zdawała się nie pamiętać wczorajszej sytuacji przy śniadaniu.

– Już południe, nie powinieneś spać tak długo – zaczęła, siadając na łóżku i gładząc chłopaka po czole. Dłoń miała niesamowicie delikatną, jakby przez całe życie nie tknęła prac domowych albo zatrzymała się w wieku lat dwudziestu. Pachniała brzoskwiniami i rumiankiem. Nastolatek pomyślał, że to doprawdy dziwne połączenie.

– Nie mogłem zasnąć – burknął na swoje usprawiedliwienie. – Miałem wrażenie, że ktoś krzyczy.

Ophelia zacisnęła usta w cienką szparę, ale tylko na chwilę.

– Jestem pewna, że to tylko echo dramatycznych przeżyć, których musiałeś być uczestnikiem ostatnich tygodni i pierwszych chwil w nowym domu – odpowiedziała, starając się brzmieć kojąco, ale mimo wszystko głos jej drżał. – Często tak się zdarza.

Corrigan widział, że się zmieszała i zaczęła ględzić o lekach i maściach, zapisanych mu w szpitalu, raczej aby zmienić temat niż ustalić najszybszą drogę rekonwalescencji. Ziewnął. Widząc, że albo jej nie słucha, albo nie rozumie, umilkła i zajęła się energicznym smarowaniem jego ran przeróżnymi medykamentami. W pewnym momencie odezwała się:

– Pierwszy sen w nowym miejscu ma duże znaczenie, wiesz? Pamiętasz, co Ci się śniło?

Corrigan zmarszczył brwi. Chyba coś było…

– Starsza kobieta z twarzą wykrzywioną grymasem. W pelerynie z kapturem. Pół twarzy miała w oparzeniach – przypominał sobie coraz więcej szczegółów, a ciotka słuchała z zainteresowaniem niegodnym tak prozaicznej sytuacji. – Nie miała tęczówek albo były tego samego koloru, co źrenice. Dziwne, nie?

Przytaknęła.

– Coś szepnęła. Później odwróciła się i weszła w mgłę, aż nie było jej widać – kontynuował.

– Doprawdy interesujący sen – wyszeptała gardłowo, jakby miała stracić nad sobą kontrolę.

– Miewałem w życiu ciekawsze.

Czując, że już skończyła smarowanie, odwrócił się w jej stronę. Miała czerwone policzki. Jej oczy lśniły. Wyraz twarzy wyrażał silny niepokój.

Zanim Corrigan zdążył cokolwiek powiedzieć, pozbierała pudełka na tacę i opuściła pokój, przy wyjściu życząc mu miłego dnia.

*Doprawdy, dziwna kobieta.*

\*\*\*

Kilka dni później poznał innego mieszkańca willi Pherrów. Ku jego niezadowoleniu, nie była to Beatrice, a biały kot imieniem Beh. Stworzenie to wślizgnęło się do jego pokoju, gdy Gwen wychodziła z tacą po śniadaniu (od wybuchu ciotki wolał jadać samotnie, co zresztą domownicy akceptowali, nie namawiając go nadmiernie do wspólnych posiłków). Wskoczyło na łóżko i wbiło pazurki w klatkę piersiową Corrigana, który krzyknąwszy z bólu, zrzucił zwierzaka na ziemię. Zamiast miauknąć albo uciec, kot patrzył się na spojrzeniem pełnym odrazy. Następnie odwrócił się i podreptał w stronę drzwi na dumnych łapach. Przez chwilę chłopak miał wrażenie, że stworzenie w międzyczasie pokazało mu język. Zdziwiło go to. Ale to nie było najbardziej zaskakujące – drzwi same otworzyły się, a kot przez nie wyszedł. Potencjalny gość, który mógłby je otworzyć, nie pojawił się.

Ta chwila utwierdziła go w przekonaniu, że coś w tym domu jest mocno nie tak.

\*\*\*

Zbudził go krzyk.

Nieustający, przerażający, pełen strachu i bólu.

Corrigan zerwał się z łóżka. Długo biegł, klucząc po korytarzach i zakamarkach, obijał się o ściany, aby jak najszybciej znaleźć źródło raniącego serce dźwięku. W końcu zatrzymał się przy delikatnym regale. Wyciągnął rękę, złapał za książkę o bordowym grzbiecie i pociągnął, a regał odsunął się, ukazując strome schody.

W tym momencie sen się skończył. Ciotka weszła, aby zmienić opatrunki i zapytać, co mu się śniło. Skłamał, wymyśliwszy historyjkę o krwiożerczym króliku.

\*\*\*

Minęły trzy miesiące. Jenny i Aureline wróciły do szkoły po wakacjach. Corrigan natomiast był nauczany w domu. Policja przysłała informację, że śledztwo w sprawie pożaru zostało zamknięte, ponieważ nie dało się dojść jego przyczyny. Kuracja maściami się skończyła – po ogniu Corriganowi zostały tylko blizny – a mimo to ciotka przychodziła codziennie pytać go o sny. Wymyślał jakieś bzdury, aby nie powiedzieć jej prawdy. Nie ufał jej, przynajmniej w tej sytuacji. W końcu, czy to normalne, że dorosła kobieta codziennie wypytuje o sny osobę, z którą w ciągu dnia praktycznie nie rozmawia? Poza tym nawet on za podejrzane uznał, że co noc słyszy krzyk oraz widzi drogę do regału i schodów.

Pod koniec trzeciego miesiąca odwiedził szpital. Zdjęto mu gips z obu kończyn, zachwycając się szybkością, z jaką złamania się zagoiły, zarządzono rehabilitację i oświadczono, że gdy będzie mieć ochotę, może próbować poruszać się o kulach. Wziął sobie to do serca – po powrocie do domu przemierzył o kulach cały dom. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak jest ogromny.

Podczas swojej szalonej galopady znalazł się w południowej stronie domu, od strony lasu. Przypadkiem natknął się na obraz, który znał doskonale. Czując, jak adrenalina uderza mu do głowy, prawie skakał, dzięki kulom osiągał całkiem sporą prędkość. *Ten kwiatek, ta komoda… Wszystko znajome!* I w końcu, pojawił się – wiśniowy regalik na filigranowych nóżkach. Z podniecenia drżały mu ręce. W końcu dowie się, dokąd sny prowadzą go od trzech miesięcy! Odszukał książkę o bordowym grzbiecie i pociągnął. Za regałem coś stuknęło i powoli przesunął się, odsłaniając wejście i schody w górę. Pokonał je w czasie wręcz niemożliwym i napotkał kolejne drzwi… Zamknięte. Poczuł, jak żal ściska mu serce. Był tak blisko!

\*\*\*

Następne dni spędził, szukając klucza do pokoju. Wiedział, że żaden z domowników nie nosił go przy sobie. Sprawdzał wszystkie dostępne zakamarki – doniczki, komody, kredensy, obrazy i tak dalej. Nie miał odwagi wejść do sypialni Pherrów – chociaż jeśli ktoś miał mieć klucz do tego miejsca, to oni. Cały czas jednak ktoś przebywał w domu, a przez niepełną sprawność nóg nie dałby rady wejść i wyjść z pokoju niezauważony. Nie miał jednak wyboru, tym bardziej, że okazja czyni złodzieja. Następnego dnia jedynie Alfred (który nigdy nie sprzątał sypialni, tym zajmowała się mulatka) miał być w domu – Lucian jechał do firmy, dziewczynki do szkoły, Ophelia do kosmetyczki, a Gwen miała jakieś sprawy do załatwienia. Taka szansa już by się nie powtórzyła.

Rozsiadł się w salonie, w fotelu przed kominkiem, a Gwen przyniosła mu gorące kakao oraz ciasteczka speculoos. Miał zamiar planować całą akcję, ale poczuł piasek pod powiekami. Zrobiło mu się wstyd, że w takiej chwili chce mu się spać, ale *co robić*? Zwinął się w kłębek i zapadł w drzemkę.

W króciutkim śnie ujrzał tylko dziwną latarnię, która posyłała światło wszędzie, tylko nie na miejsce pod sobą.

Szybko się obudził. Poczucie własnej głupoty i lenistwa, które sprawiły, że zasnął, tracąc tak świetna okazję, bolały go coraz bardziej. Zerwał się i popędził do wiśniowego regaliku. Przyglądał się stojącym na nim przedmiotom. Dotykał grzbietów książek, pragnąc poznać tajemnicę, która kryła się za nimi.

Nagle, ku swojemu zdumieniu za jedną z nich znalazł wąskie, drewniane pudełko, zamykane na kod.

\*\*\*

Wiedział, że nie znajdzie kodu napisanego na ścianie, to nie był escape room. Liczył, że to w śnie znajdzie odpowiedź, tak jak wielokrotnie już widział w nich przyszłość. Jak na złość, ostatnimi dniami nie mógł spać po nocach albo nie widział w nich nic.

Pomyślał, że szybciej zaśnie, jeśli się zmęczy. Zaczął więc codziennie przemierzać kilometry, chodząc korytarzami i po ogródkowych chodnikach. Najpierw o kulach, a potem radził sobie bez nich. Poskutkowało to w tym, że pewnego razu rehabilitant podziękował mu za współpracę. Nie oznaczało to jednak, że w snach zobaczył cokolwiek. Kontynuował spacery, wmawiając sobie, że to mu pomoże. A przynajmniej doprowadzi mięśnie do stanu sprzed pożaru.

Któregoś dnia przechodził obok sypialni państwa Pherrów, gdy usłyszał ich kłótnię.

– Po co myśmy, kuźwa, wszystko zaczynali, skoro nie potrafisz się od niego niczego dowiedzieć?! – grzmiał mężczyzna.

– Luci, przecież rozmawiam z nim codziennie! To nie moja wina, że mu się nic nie śni.

Ktoś zaczął intensywnie chodzić po pokoju.

– Może trzeba spróbować jakoś inaczej?

– Jak, kobieto?

– Oj, nie wiem. Liczyłam że ty na coś wpadniesz. - Mężczyzna prychnął.

– Jesteś pewna, że on w ogóle…

– Tak. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Psycholog też potwierdził.

– Niech Ci będzie. Dać ci kasę na kosmetyczkę?

– Nie, dziękuję, mam.

Corrigan oddalił się w pośpiechu, nie chcąc nawet myśleć, co właśnie usłyszał.

# Rozdział III

# Roszpunka

Nie mógł stwierdzić, czy to dzięki spacerom, czy nie, ale w końcu, pewnej nocy zobaczył czterocyfrową liczbę i wiedział, że dzisiaj pozna tajemnicę pokoju za wiśniowym regalikiem.

Jak zwykle przyszła Ophelia, ale szybko opuściła pokój, strapiona, że nie dowiedziała się od niego niczego ciekawego. Następna pojawiła Gwen. Corrigan musiał przyznać, że gofry, które mu dzisiaj przyniosła, były przepyszne. Powiedział to, a jej twarzyczka rozświetliła się w uśmiechu. Nie mógł usiedzieć na miejscu, gdy pan Tlein tłumaczył mu francuską gramatykę, a panna Izabela żartowała, że chłopak szykuje się do odlotu i nawet najciekawsze równanie go nie powstrzyma. Okazja pójścia do regaliku nadarzyła się dopiero po lunchu. Gdy Gwen wyszła, Corrigan doczłapał się do łazienki, tam zmył z siebie pot po ćwiczeniach i przy okazji przeglądając się w lustrze stwierdził, że przez bliznę na twarzy wygląda mężniej niż wcześniej.

Następnie wygrzebał z komody świeże, ale mniej eleganckie, niż na spotkania z nauczycielami, ubrania. Wybrał trochę niedopasowane (w końcu kupione przez ciotkę) czarne spodnie i t–shirt z logo gry, po czym pomyślał, że musi czym prędzej wybrać się na zakupy. Co prawda, ubrał się szybko, ale odczekał chwilę dla pewności, że ciotka albo pokojówka już po nic nie wrócą i zobaczy je dopiero przy okazji kolacji. Czasu miał wystarczająco.

Po cichu wyszedł z pokoju. Zamknął drzwi, a klucz do nich założył na szyję. Trasę do regaliku przemierzył jak we śnie. Wstrzymał oddech, gdy otwierał pudełeczko. Gdyby mógł, podskoczyłby że szczęścia, gdy na jego rękę wypadł srebrny kluczyk. Przeszedł przez dziurę w ścianie i starannie ją zamknął, będąc pewnym, że nieprędko przez nią wróci. Ręce mu się trzęsły, gdy przekręcał klucz w zamku. Drzwi otworzyły się z lekkim skrzypieniem, sugerującym, że nie były często używane.

Bez wahania wszedł do środka i rozejrzał się po pomieszczeniu, w którym się znalazł. Znajdował się w wieży, na którą zwrócił uwagę podczas przyjazdu. Światło wpadało przez spore, zakratowane okna od południowej strony. Tak jak przypuszczał, z widokiem na las. Okrągły pokój był zabałaganiony – wszędzie leżały ubrania, brudne naczynia, masa pustych opakowań po jedzeniu i nie tylko, porozwalane kartki, płótna i plamy od farb. Jedna z poduszek była rozerwana, pierze walało się po podłodze.

Corrigan poczuł lęk. *Czy Beatrice tu jest, zamknięta od ludzi, którym mogłaby zrobić krzywdę?* Powinien się wycofać, skoro zaszedł tak daleko? Chociaż głosik w jego głowie podpowiadał mu kompletnie co innego, wykonał krok do przodu.

Nagle, oberwawszy czymś twardym w plecy, upadł. W założeniu miało go to ogłuszyć, gdyby tylko dostał w głowę. Czując, że powinien to zrobić, błyskawicznie odwrócił się na plecy i złapał stopę, która leciała wprost na jego kark. Odruchowo przewalił atakującą go osobę na bok. Usłyszał jęk.

Po kilku sekundach zorientował się, kto właśnie próbował go zabić. *Zmieniła się nie do poznania*. Nigdy, nawet w najdalszych zakątkach swojej wyobraźni nie przypuszczał, że mogła wyglądać… tak.

Dziewczyna była chorobliwie blada. W wychudzonej twarzy ciemne oczy wyglądały jak drogocenne kamienie, położone na oczach zmarłego. Usta, te piękne usta, które pamiętał z ich ostatniego spotkania, teraz były blade i spękane. Wychudłe ręce kończyły się żółtymi paznokciami. Tłuste włosy skręcały się w rudą, rozczochraną burzę loków, opadającą na twarz i plecy, aż do pośladków. Chyba nikt nigdy ich nie czesał...

Dopiero po chwili, oszołomiony jej wyglądem, zobaczył jej ubranie. W cienkiej nocnej koszuli musiało być jej zimno!

Nie protestowała, gdy podniósł z podłogi kołdrę, owinął ją nią i położył na sofie jak małą, smutną tortillę.

Miała szeroko otwarte oczy pełne przerażenia, ale nie stawiała się. Usiadł koło jej głowy i pogładził ją po włosach. Wyglądały, jakby od lat nikt ich nie mył, ale nie napawały go odrazą, lecz żalem. Co się działo w tym domu, że słodka Beatrice została doprowadzona do takiego stanu?

Uświadomił sobie upływ czasu i szybko zaczął szukać drogi powrotnej. Beatrice tylko patrzyła na niego, nie wydając żadnego odgłosu ani nie poruszając się.

\*\*\*

Jeśli jego tajne odwiedziny nie powinny zostać wykryte, a zamierzał przychodzić do wieży codziennie, musiał zatrzeć ślady. Przede wszystkim: mieć klucz przy sobie, a nie codziennie grzebać w regale, szukając kasetki. Wpadł na pewien pomysł: złamał klucz do swojego pokoju, dzięki czemu wybłagał Gwen, żeby zabrała go ze sobą do miasta.

Tam poszło gładko. Dorobił oba klucze, a przy kupił w końcu ubrania, które mu się podobały i wreszcie miały właściwy rozmiaru.

\*\*\*

Następnego dnia odwiedził Beatrice po lunchu.

Nie leżała już na sofie. Nie próbowała go zabić. Siedziała na podłodze i tworzyła łódeczki z papieru. Usiadł naprzeciwko niej. Wziął jedną kartkę i po kilku zwinnych ruchach dłoni podał kuzynce łabędzia. Pisnęła z zachwytu. Wzięła wyrób do rąk i pocałowała.

Resztę popołudnia spędzili na tworzeniu coraz to nowych origami. Okazywał jej dużo cierpliwości, pokazując przeróżne kombinacje. Z każdej cieszyła się jak dziecko.

Tego samego dnia, gdy wieczorem Corrigan leżał już w łóżku, pomyślał, jak to dobrze, że Caroline nauczyła go tych wszystkich robótek. Od tego jednego przebłysku, wspomnienia byłej dziewczyny zapełniły jego głowę. Zobaczył jej krótkie, brązowe włosy okalające roześmianą twarz, kształtne ciało, które tak bardzo…

Odgonił niepotrzebne myśli. Caroline odeszła i już nie wróci. Nie napisała nawet smsa, czy coś się z nim stało! Ile to już minęło? Rok? Półtora? Kompletnie stracił poczucie czasu. Powrócił więc do Beatrice.

*Na pewno nie była normalna. Zachowywała się, jakby była opóźniona w rozwoju. Może była? Czy to było powodem, dla którego została odizolowana?* *Jednak ciotka Ophelia nie wyglądała na osobę, która zamyka własne dziecko w wieży. Chyba, że zaatakowała kogoś… Może była zazdrosna o młodsze siostry i próbowała zrobić którejś z nich krzywdę? Dlatego teraz się z niej śmiały?*

Pewien mógł być tylko tego, że coś bardzo go do niej ciągnęło.

W końcu uznawszy, że po dwóch spotkaniach nie ma sensu wyciągać pochopnych wniosków, zasnął.

– Pytanie: czy zamknęli ją przez to, jaka była, czy stała się taka, bo ją zamknęli… – usłyszał głos starszej kobiety, która zaraz zniknęła we mgle.

\*\*\*

Każdy dzień wyglądał tak samo. Pobudka, rozmowa z ciotką, śniadanie, intensywna nauka, lunch. Potem opuszczał pokój i przechodził przez dziurę za wiśniowym regalikiem. Wstrzymywał oddech i wchodził do Beatrice.

Tego dnia z ulgą zobaczył, że siedzi na sofie i przegląda jakąś książkę. W duchu liczył, że będzie to oznaką jej sprawności umysłowej. *Zaraz się przekonamy* – pomyślał i usiadł koło niej.

– Dzień dobry, Beatrice – zaczął, starając się przybrać miły ton głosu. – Jestem Corrigan, twój kuzyn, pamiętasz?

Podniosła twarz. Czuł, jak przeszywa go spojrzeniem swoich pięknych oczu koloru nocnego nieba.

– Mieszkaliśmy niedaleko siebie… Zanim się wyprowadziłaś. Pamiętasz? To było dawno temu.

Nadal na niego patrzyła, milcząc. Powoli tracił już nadzieję.

– Robiliśmy tyle rzeczy razem… Piekliśmy ciastka, puszczaliśmy latawce albo ganialiśmy się po placu zabaw…

Jeszcze raz spojrzał na nią. Był pewien, że nie przypomina go sobie, gdy zerwała się na równe nogi. Podbiegła do kufra stojącego w kącie. Chwilę grzebała w nim z zapałem, aż wyciągnęła jakiś przedmiot. Szybko wróciła do Corrigana i wcisnęła mu go w dłoń.

– Pamiętam! – krzyknęła. Zadrżał, słysząc jej głos. Był taki cienki, wręcz dziecięcy. Powoli rozwarł palce. Dała mu malutką bransoletkę zrobioną z różowych i niebieskich koralików, ze srebrnym serduszkiem. Chociaż minęło tyle czasu, pamiętał, jak ją dla niej zrobił.

Uśmiech rozświetlał jej twarz. *Och, jakim ja musiałem być głupcem, skoro tak prędko pogodziłem się z jej zniknięciem?*

\*\*\*

Spędzał u Beatrice każdą wolną chwilę, a miał ich całkiem sporo. Nowi opiekunowie nie przebąkiwali nic o powrocie do normalnej szkoły, a w ciągu dnia nie zwracali żadnej uwagi na to, jak spędza czas wolny. Dawało mu to mnóstwo swobody, której w domu rodzinnym by nie miał. Czasami, podczas bezsennych nocy, ze łzami w oczach na każde wspomnienie, porównywał rodziców i państwa Pherrów. Ci pierwsi pilnowali, by dobrze się uczył i wracał do domu o wyznaczonych porach, a ciotka i jej mąż nie zajmowali się tym, co robi w ciągu dnia. Z nikim z nich właściwie nie rozmawiał. Rozmowy… to była rzecz, której bardzo brakowało w tym domu – był wielki, pusty i cichy. W apartamencie Atterberrych relacje wydawały się bardziej zacieśnione, niż tutaj.

Bolał go też brak kontaktu z dawnymi przyjaciółmi i krewnymi. Odwrócili się od niego, nie pisali, nie dzwonili, o odwiedzinach nie było mowy. Ściskało go w gardle za każdym razem, gdy pomyślał o wszystkich przyjaźniach, które z nimi zawarł, a teraz okazały się bezwartościowe.

Teraz jego jedyną przyjaciółką była Beatrice. To znaczy, miał nadzieję, że była. Od ich pierwszego spotkania wiele się zmieniło – dziewczyna zaczęła odpowiadać pełnymi zdaniami i dała się przekonać do regularnych kąpieli wraz z myciem włosów (wcześniej używała tylko szczoteczki i pasty do zębów), on rozwinął w sobie cierpliwość do ludzi, której wcześniej nie posiadał. Pierwszy raz w życiu poczuł, że mógłby zrobić dla kogoś wszystko bez niczego w zamian. Bezwarunkowo. Kochał ją, ale nie romantycznie, jak Caroline. Pragnął jej szczęścia oraz bezpieczeństwa.

\*\*\*

Corrigan i Beatrice siedzieli razem na sofie i czytali książkę, którą chłopak znalazł na półkach w swoim pokoju. Dziewczyna miała problemy z czytaniem, chyba naukę skończyła w chwili zamknięcia. Za to była pojętną uczennicą i Corrigan sądził, że w nie minie długo, zanim będzie śmigać samodzielnie. Z pisaniem szło lepiej, bo miała już wyrobioną rękę od artystycznych zajęć (podsuwanych przez „opiekunów”, aby miała zajęcie i nie hałasowała).

Oparła głowę o jego ramię. Poczuł przyjemny dreszczyk. Przerwała czytanie.

– Kocham cię, wiesz?

– Ja też cię kocham.

Pocałował ją w czoło i wrócili do czytania. Do chwili, gdy usłyszeli szuranie wiśniowego regaliku po podłodze. Beatrice wydała z siebie pisk. W ułamku sekundy podniosła się.

– On idzie!

– Kto? – spytał nastolatek, ale nie uzyskał odpowiedzi. Dziewczyna wepchnęła go do łazienki. Zatrzasnęła drzwi sekundę przed przekręceniem się klucza w zamku oraz skrzypnięciu zawiasów.

– Witaj, ślicznotko – usłyszał ciepły głos… Luciana Pherra.

– Odejdź stąd.

– A co ty taka oschła?

Wykonali jeszcze kilka kroków. Pojawiły się odgłosy szamotaniny. Sprężyny sofy brzdęknęły, a Beatrice zaczęła krzyczeć.

Zanim Corrigan zdążył cokolwiek pomyśleć, wybiegł z łazienki i uderzył wuja mopem w czaszkę. Mężczyzna upadł. Beatrice patrzyła na całą scenę, skulona na tapczanie. Płakała. Nastolatek podbiegł do niej. Wziął ją w ramiona i zakołysał.

– Już dobrze… Spokojnie… Jesteś bezpieczna.

Pocałował ją w czoło, a ona wypłakiwała się w jego klatkę piersiową. Dopiero, gdy zaczął klaskać, zorientowali się, że Pherr nie leży ogłuszony na podłodze.

– No, no, no – burknął, zapinając rozporek. Podskoczył do nich, jednym ruchem ręki oderwał Beatrice i rzucił ją w kąt. Jęknęła cicho. Następnie stanął naprzeciw kipiącego ze złości Corrigana. Złapał go i podniósł, tak, że nogi chłopaka majtały w powietrzu.

– Ty szmaciarzu, przyjmuję cię pod mój dach, utrzymuję, a ty nie przestrzegasz jedynej zasady, jaka została ci wyznaczona!

Mężczyzna był czerwony z wściekłości. Ale nie tak zwyczajnie - jego skóra przybrała karminowy kolor. Z czoła, ku przerażeniu nastolatka, wyrastały rogi. Wydał z siebie zduszony okrzyk, a Pherr nim rzucił. Gdy uderzył o ścianę, poczuł, jak z tyłu głowy wypływa mu krew.

– Zapamiętaj, że nie jestem człowiekiem, zanim mnie kiedykolwiek dotkniesz – wycedził, a w jego prawej ręce uformowała się kula ognia. Rzucił ją prosto w twarz Corrigana.

Ze strachu zamknął oczy. Gdy je otworzył, Lucian nadal tworzył kulę w dłoni. Wtedy, wręcz odruchowo, rzucił się w bok. Usłyszał trzask, huk kruszonej cegły i poczuł swąd palonych włosów – swoich własnych. Pokręcił głową, próbując otrząsnąć się z szoku. Z ulgą zobaczył, że Lucian Pherr opuścił wieżę. Jego pocisk za to wyburzył pół południowej ściany pokoju, w tym okna, ale również go podpalił. Ogień rozprzestrzeniał się szybko. Nadal mając wspomnienia z pożaru własnego domu, Corrigan na drżących nogach wstał i podszedł do kuzynki. Oberwała w głowę mocniej niż on, jeszcze ciepła krew broczyła z głowy. Nie była przytomna.

Czuł, że niedługo Lucian wróci tu z resztą familii. Nawet z tym przeklętym kotem! Wszyscy musieli mieć jakieś inne, mordercze umiejętności, które z pewnością na nich zaprezentują. O ile oboje nie usmażą się tutaj najpierw. Musiał jak najszybciej uciec. Bez wahania założył omdlałą na ramionach i powoli zbliżył się do dziury w ścianie.

Zakręciło mu się w głowie, gdy zobaczył, jak wysoko się znajdował. Cofnął się. Przymknąwszy oczy, zaczął intensywnie myśleć. Nie było żadnego dobrego wyjścia. Albo zabiją się zeskakując, albo spłoną, albo wejdą wprost do paszczy lwa. Robiło się coraz goręcej. Z nieznanego mu powodu zobaczył również starą kobietę ze snów.

– Hej, ty, gamoniu! Długo masz zamiar tak stać?

Znajdowała się tuż przed nim! Po tym, co zobaczył, nic już nie mogło go zdziwić. Pokręciła głową ze zrezygnowaniem, chwyciła ramię Corrigana i nogę Beatrice oraz pociągnęła ich w niebyt.

# Rozdział IV

# Historia lubi się powtarzać

Obudził się w pachnącym wilgocią miejscu.

Rozejrzał się wokoło. Leżał w polowym łóżku, stworzonym ze słomy. Znajdował się w grocie. Z sufitu sterczał korzeń, do którego ktoś przymocował lampki choinkowe. Nie chciał wiedzieć, skąd tu prąd i jakim cudem nie doszło tu jeszcze do zwarcia. Powoli wygrzebał się z siennika. Stanął, lekko się chwiejąc. Trzymając się ścian, zaczął iść w stronę czegokolwiek.

Dotarł do czegoś na kształt kuchni. Nadal to było pomieszczenie w grocie, ale tu znajdowały się kuchenka gazowa, miska z wodą i kilka stolików. Przy jednym z nich siedziała jego wybawicielka. W skąpym świetle kinkietu blizny na jej twarzy wydawały się jeszcze straszniejsze, niż w wizjach. Zamyślona, paliła papierosa. Przycupnął na krześle obok, nic nie mówiąc. Dopiero po jakimś czasie otworzył usta.

– Jestem Corrigan.

– Wiem.

– Och, okej.

Znowu milczeli.

– Proszę pani, mam tyle pytań…

– Nie mów do mnie pani, bo nie lubię, gdy wypomina mi się mój wiek. Jestem Callavis i to musi ci wystarczyć.

– Callavis. O–okej.

– Pytania zadawaj śmiało, ale niech nie będą nudne, bo zasnę – ostentacyjnie ziewnęła, nie wypuszczając papierosa z dłoni.

– Gdzie jest Beatrice?

Cynicznie się roześmiała.

– Mogłam spodziewać się, że pierwsze będzie dotyczyć twej miłości.

– Nie jest moją miłością. To moja bliska kuzynka – powiedział hardo.

– To się nie wyklucza.

Zaciągnęła się dymem i wypuściła go wysoko, pod sufit.

– Starożytni Grecy rozróżniali cztery rodzaje miłości i muszę przyznać, że to mój ulubiony podział – kontynuowała. – Eros, Storge, Philia i Agape. Słyszałeś o nich kiedykolwiek?

– Nie.

– Czego was w tych szkołach uczą? – oburzyła się ostentacyjnie. Zaciągnęła się i mówiła dalej. – Pierwsze to miłość fizyczna, romantyczna, seksualna. Tego, jak podejrzewam, do tego dziewczęcia nie czujesz?

Zastanowił się chwilę.

– Nie.

– A szkoda, to naprawdę urocza osóbka.

Zanim zdążył cię odezwać, mówiła dalej.

– Druga jest między członkami rodziny. Trzecia to miłość braterska, między przyjaciółmi, przywiązanie do czegoś lub kogoś. Z tego, co was obserwowałam, to u was rozkwitało, mój drogi.

– Podglądałaś nas?!

– Musiałam jakoś cię nadzorować! Sama nie wiem, jak to było możliwe… Ostatecznie dobrze się to skończyło, bo postanowiłeś przylać lucyferowi i spaprać robotę.

Corrigan rozumiał z tego co raz mniej. Pokręcił głową ze zrezygnowaniem.

– Nadal nie odpowiedziałaś na żadne z moich pytań.

– Hej, daj mi powspominać czasy, gdy byłam młoda i piękna i nie musiałam ratować gamoni rzucających się z mopami na demony.

Upewniła się, że nie będzie jej przerywał.

– A agape to najwyższa forma miłości, bezwarunkowa i uniwersalna. Chrześcijanie zrobili z niej miłość do Boga, ale o tym nie mam zamiaru dyskutować. Czy po tych przykładach masz jeszcze jakieś wątpliwości, że jest twoją miłością?

Zastanowił się.

– No… Chyba nie…

– Świetnie. A jeśli chodzi o jej miejsce pobytu, to jest tam – wskazała na drzwi naprzeciwko tych, z których wyszedł Corrigan – i śpi. Dobrzeje po obrażeniach, nie wolno jej przeszkadzać – dodała widząc, że chłopak już się podrywał z krzesła.

– Masz jakieś inne pytania? Mamy całą noc.

– Tak. Gdzie jesteśmy? Jak się tu znaleźliśmy? Jak…

– Kim jesteśmy, dokąd zmierzamy – sparodiowała. – Jesteśmy ukryci w grocie za wodospadem, czyli w najbezpieczniejszym miejscu przeciw demonom, a w szczególności takim, jak Luci Pherr. Nie pytaj, jakim cudem jeszcze nie zamarzliśmy, za długo by tłumaczyć. Przeniosłam nas tu za pomocą teleportacji, która jest kolejną fazą szkolenia umysłu i ty też pewnie kiedyś się jej nauczysz. Na pierwszy raz i tak szybko ozdrowiałeś, biorąc pod uwagę, jak zaczadzony wtedy byłeś.

– Ile spałem?

– Dwa dni. Ale spokojnie, każdy z nas to kiedyś musiał przeżyć.

– Skoro tak mówisz… Umiesz mi wyjaśnić całą tę popapraną sytuację, która zaczęła się od przybycia do tamtego domu?

– Oj, kochaniutki, ona zaczęła się dużo, dużo szybciej.

Odchrząknęła, wyprostowała się na krześle i zaczęła swoją opowieść.

– Wiele lat temu pewna sekta druidów osiągnęła interesujący stan kontroli nad własnymi umysłami, od czego, bądź co bądź, pochodzi ich łacińska nazwa – *compos mentis*, czyli zdrów na umyśle albo kontrolujący swój umysł. Nie wiem, jak to osiągnęli. Ćwiczenia? Dar od bogów? Pewne jest jedynie to, że ich dzieci dziedziczyły ten dar. I dzieci tych dzieci też. Niestety, nie każdy z nich był tak potężny, a wojny i tragedie, które dotknęły Wielką Brytanię, dodatkowo przerzedziły potomków. Postanowiono, że jeśli będą się za bardzo angażować w sprawy publiczne, szybko wyginą, dlatego rozjechali się po świecie, by swoich umiejętności używać we własnych celach.

Popatrzyła chwilę w sufit.

– Wszystko było dobrze. Obdarowani, bo tak właśnie zaczęli się nazywać zamiast *compos mentis*, we własnych grupach, którymi najczęściej były ich rodziny, dbali o utrzymanie umiejętności przodków i pozyskanie nowych. Wszystko wydaje się super, co nie? – zwróciła się do chłopaka.

– Eeee…

– Wszystkim się tak wydawało. Do czasu, aż do głosu doszło moje zbuntowane pokolenie – westchnęła. – A razem z nim człowiek zwany Dogo Nievas. Co to był za mężczyzna! Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek zdobył wszystkie umiejętności kontroli umysłu, to właśnie on! Niestety, pragnął też władzy. Uważał, że to Obdarowani powinni rządzić światem. Układać go według własnej wizji, czynić lepszym miejscem... A przede wszystkim przestać ukrywać swoją moc. Miał coraz więcej popleczników. Świat podzielił się na dwie grupy – tradycjonalistów i popleczników Nievasa. Toczyła się zimna wojna, to, jak rzuciliby się sobie do gardeł, było tylko kwestią czasu.

Zgasiła papierosa w popielniczce, po czym wstała i wstawiła czajnik z wodą na gaz.

– Ale wiesz, to nawet nie było bezpośrednią przyczyną naszego upadku. Doprowadziło do tego, że zaczęły interesować się nami… spójrzmy prawdzie w oczy, diabły. Chciały zrobić to, co Dogo Nievas, pomijając stworzenie lepszego świata, a wszechstronne umiejętności Obdarowanych nadawały się idealnie. Co tu dużo mówić… Stary konflikt przestał mieć znaczenie. Część, skuszona władzą, przeszła do demonów, inni opowiedzieli się po stronie tradycjonalistów. Rozpoczęła się prawdziwa wojna.

Umilkła. Corrigan bał się zadać jakiekolwiek pytanie. Nalała wody do dwóch kubków, wsypała po łyżeczce kawy i podała jeden chłopakowi. Minęło kilka minut, nim ponownie się odezwała.

– Demony zabijały wszystkich, którzy nie chcieli im służyć oraz tych, których służba im się nie podobała. Skutkowało to w tym, że populacja Obdarowanych szybko się zmniejszyła. Obie strony w końcu się zorientowały. Rozejm, diabły nie będą używać Obdarowanych do swoich celów, a Obdarowani nie będą na diabły polować. Świat był uratowany, ale za jaką cenę? Śmierci tysięcy ludzi i życia w ukryciu podobnej liczby.

– Wszyscy żyją tak, jak ty?

– A jak mieszkała twoja rodzina? Większość żyje normalnie, nawet nie wiedząc o swoich umiejętnościach. Tak, dobrze myślisz – powiedziała w reakcji na jego zdziwioną minę – Pierwszym Darem, jest Patrzenie. Widzenie w snach przyszłości. U ciebie to też się pojawiło, prawda?

– Prawda.

– No. To była jedyna szansa. Demony nie wiedziały, że dziecko Obdarowanego zawsze będzie Obdarowanym. Dopóki dziecko nie zostało uświadomione, że jego sny naprawdę są wizją przyszłości, nie mogło tego rozwinąć. Było bezpieczne. Tę technikę zastosowało wiele rodzin… twoi dziadkowie, Cloversi, Tastfieldowie, Rossowie i nawet Hurredaintowie… A przynajmniej tak twierdzili.

Corrigan zachłysnął się herbatą.

– Hurredaintowie? – wykrztusił.

– Dokładnie.

– Przecież tak nazywał się ojciec Beatrice. Harry Hurredaint.

Powoli dochodziło to do niego. Beatrice…

– Przecież wiem, to mój dobry znajomy.

– Więc dlaczego ani razu nie skontaktował się z córką, jak ty to zrobiłaś?! – wybuchł. Wstał i uderzył rękami w stół. Kubki z herbatą podskoczyły. – Dlaczego nikt nie zareagował, gdy od dziesięciu lat była zamknięta w wieży i dręczona przez Pherra?!

Kobieta tylko wywróciła oczami.

– A ty, dostałeś jakąkolwiek wiadomość od świata zewnętrznego, gdy byłeś w ich domu?

Pokręcił głową. Nadal stał.

– To weź teraz swój telefon i sprawdź jeszcze raz.

Nie wiedział, czemu akurat dzisiaj miał go w kieszeni spodni, od dawna nie nosił go przy sobie. Zerknął na ekran i nie mógł uwierzyć własnym oczom. 167 nieodebranych połączeń, 305 wiadomości w messengerze, 48 smsów, tysiące wiadomości na konwersacjach klasowych i grupowych…

– Jak… – wykrztusił.

– Prosta sztuczka. Ten stary sługa rzucił zaklęcie, przez które teren domu Pherrów jest zamknięty od reszty świata. Nie widać go w wizjach, sieć nie działa, chociaż udaje, że działa.

Corrigan nie mógł otrząsnąć się z szoku. Oparł twarz na ręce i przejrzał wiadomości… Tyle ludzi się o niego martwiło, pytało, czy żyje, błagało o odpowiedź…

– Pherrowie są potworami – wyszeptał.

– Nie do końca. To diabły wysłane przez Szatana.

Oddychał głęboko. Miał wrażenie, że ze stresu jego żołądek zaczął skręcać się i koziołkować.

– To dlatego mnie adoptowali?

– Tak. To są tylko moje przypuszczenia – ostrzegła. – Myślę, że w końcu odkryli, że dziecko Obdarowanego musi być Obdarowanym i uznali, że ciebie łatwiej będzie przeciągnąć na ich stronę niż na przykład twojego ojca. A co do twojej kuzynki… Przed laty Ophelia ogłosiła, że Beatrice zmarła, przedstawiła akt zgonu i urządziła pogrzeb. Nikt nie przypuszczał, że zrobiła z dziewczyny Roszpunkę w wieży. Dlaczego? Nie mam pojęcia.

Spojrzał na nią oczami pełnymi łez. Kobieta przytuliła go matczynym gestem. Tego właśnie potrzebował… Tak to już bywa, że gdy raz się rozkleimy, najczęściej wyrzucamy z siebie wszystko, co nam leży na sercu… Opowiedział o pożarze, tęsknocie za rodzicami, Beatrice, ciotce, trapiących go snach i wszystkich dziwnych lub przerażających sytuacjach, które spotkały go u Pherrów. Słuchała z uwagą, jednocześnie lekko kołysząc chłopaka. Na koniec jego opowieści ucałowawszy go w czoło, oznajmiła:

– Idź już spać, kochanie. Porozmawiamy jutro. Postaram się znaleźć odpowiedzi na wszystkie twoje pytania.

\*\*\*

Znajdował się w zgliszczach więzienia Beatrice. Przeraziło go to nie na żarty. Czuł zbliżający się atak paniki. Obszedł pokój dookoła, szukając jakiejś drogi ucieczki. Musiała minąć chwila, zanim dojrzał stojących w drzwiach Ophelię i Luciana. Odetchnął z ulgą. To musiała być wizja tego, co wydarzyło się po ich ucieczce.

Podszedł bliżej. Ciotka była zadumana, a jej mąż wściekły.

– Widzisz, do czego prowadzą twoje głupie sentymenty? – powiedział gniewnie. – Teraz przez twojego bękarta nasza jedyna szansa na osiągnięcie celu zniknęła!

– Beatrice nie jest bękartem – odrzekła chłodno. – Jej ojciec był moim mężem.

– Więc trzeba było mu ją zostawić.

– Doprawdy? Jak miałeś zamiar to zrobić, skoro wcześniej upozorowaliśmy jej śmierć, żeby nie mieć Hurredainta na karku?

– Och, świetnie. Czyli lepiej, żeby co tydzień przychodził do niej na herbatkę?

– Może byłoby. Zamiast tego zamknąłeś ją w wieży i odwiedzałeś z odpiętym rozporkiem.

Lucian zarumienił się.

– Myślałeś, że nie wiem? Pozwalałam na to tylko dlatego, że pamiętałam, co po drinku jej ojciec potrafił zrobić ze mną. A tak natknęliście się na siebie i…

– Już tak na mnie nie psiocz, babo. Jakbyś dowiedziała się od niego czegokolwiek, ta sytuacja nigdy by nie zaistniała!

– Jeśliś taki mądry, czemu nie złapałeś go wtedy i nie zastosowałeś swych metod?!

– Sądziłem, że jest ogłuszony.

– Taa, to masz świetne wyczucie, pogratulować tylko!

– Jestem Lucyferem, Księciem Piekła, a ty tak otwarcie ze mnie kpisz? – ryknął. Skuliła się, po czym… wybuchła płaczem.

– Och, Luci – załkała, gdy wziął ją w ramiona. – Przepraszam, wiesz przecież, że jestem zła, bo mi zależy…

– No już, już, kochanie – rzekł ciepło. – Poradzimy sobie. A jeśli nie my, to nasze dzieci.

Obudził się z głośnym jęknięciem na ustach. Liczył, że jego wybawicielka przyjdzie zobaczyć, czy wszystko w porządku, ale tak się nie stało, więc wstawszy z pachnącego słomą łóżka, poszedł w stronę kuchni.

Na blacie stał talerz ze stosem jeszcze ciepłych tostów francuskich, ale właścicielki nie było w pomieszczeniu. Pomyślał, że nie będzie mieć mu za złe, jeśli się poczęstuje. Ostatecznie gości powinno się karmić.

Przyszła, gdy kończył jeść.

– O, widzę, że jesteś na tyle mądry, że potrafisz sam sobie wziąć jedzenie – mruknęła, siadając naprzeciwko.

– Przepraszam, ale one tak ładnie pachniały...

– Przecież dla ciebie je zrobiłam. Cieszę się, że się domyśliłeś.

Przymknęła oczy i jednocześnie odchylając się na krześle, przeczesała palcami włosy. Miała wory pod oczami. Wyglądała, jakby w ciągu nocy postarzała się o kilka lat. Wyciągnęła papierosy z kieszeni peleryny i zapaliła jednego, dotykając jego koniec palcami. Pomieszczenie szybko wypełniło się zapachem dymu.

– Wszystko w porządku? – spytał Corrigan, zmartwiony stanem kobiety.

– Nic nie jest w porządku – burknęła, nie otwierając oczu. – Twoja urocza przyjaciółka prawie umarła.

– Co?! – wstając, trzasnął otwartymi dłońmi o blat stołu. Kubek podskoczył, a trochę herbaty się wylało.

– Uspokój się, bo tak nie będziemy rozmawiać.

– Co z nią?! – ryczał, nie zważając na jej słowa. Otworzyła oczy. Spod powiek ciskały błyskawice. Zamachnęła się dłonią w powietrzu, ale Corrigan poczuł uderzenie, jakby go dosięgła. Trzymając się za policzek, zapytał, już spokojnie:

– Co zrobiłaś?

– To typowa moc Obdarowanych. Jeśli nie będziesz mi przerywać i drzeć się nie wiadomo po co, wszystkiego się dowiesz.

Zaciągnęła się dymem i wypuściła pod sufit kilka obręczy.

– We śnie zobaczyłam, jak Beatrice spada w czarną otchłań. Zbyt wiele miałam takich snów, aby się nie zbudzić. Pobiegłam do izby, w której leżała. Nie przewidziałam, że wilgoć tego miejsca – machnęła rękami – która tak sprawnie odstrasza wszystkie demony pokroju Pherrów w połączeniu z pierwszą teleportacją tak źle podziała na jej układ oddechowy. Prawie się udusiła.

Corrigan poczuł, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

– Na szczęście zdążyłam wywabić tą przeklętą wilgoć z jej płuc i skontaktować się z jej biologicznym ojcem. Biedulek był przekonany, że dziewczyna od lat nie żyje.

Corriganowi kotłowało się w głowie mnóstwo pytań. To wszystko działo się za szybko i zbyt niezrozumiale!

– Nie rozumiem... – wydusił.

– Nie musisz – wzruszyła ramionami. – Ja też nie do końca. Wiem natomiast, że ciało osoby nieobdarowanej bądź nieodkrytej ciężko znosi każde korzystanie z Darów, tym bardziej tak skomplikowanych jak Teleportacja. Do czynników drażniących, można doliczyć również to, że od wielu lat nie opuszczała wieży i panujących tam warunków.

Pokiwał głową, że rozumie. Na ten znak kontynuowała.

– Tak więc siedziałam u niej do czasu, aż nie przybył Harry Hurredaint i nie zabrał jej do siebie. Prawie zemdlał, gdy przekonał się na własne oczy, że nie żartowałam. Teraz jest już bezpieczna.

– Ja bym zemdlał, gdybym zobaczył, w jakich warunkach ją trzymałaś – prychnął. Wywróciła oczami jak nastolatka, nie starsza pani.

– W aktualnej sytuacji to najbezpieczniejsze miejsce na Ziemi. Biorąc pod uwagę, że instalacja elektryczna w końcu nie pierdolnie i na spółę z wilgocią nie usmażą nas jak ja te tosty. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Chyba nie.

– To dobrze. Będziemy ćwiczyć.

– Co ćwiczyć?

– Jak to co? Wszystko. Myślisz, że jednym snem od czasu do czasu uda Ci się uwolnić od Pherrów?

Musiał przyznać jej rację.

– Skoro już jesteśmy przy temacie... Dzisiaj też miałem sen.

Opowiedział jej wszystko od początku do końca. Co jakiś czas zadawała mu jakieś pytanie, ale ogólnie słuchała uważnie. Na zakończenie powiedziała:

– Tego się spodziewałam. Jeszcze przydałoby się dowiedzieć, którego swojego sługusa użył Lucian Pherr...

Potarła brodę.

– Meh, pomyślę nad tym później. Teraz czas na ćwiczenia.

Zgasiła peta w popielniczce. Następnie podniosła się i klepnęła chłopaka w ramię. Poprowadziła ich w głąb góry. Zeszli po stromych, wydrążonych w kamieniu schodach. Pstryknięciami palców zapalała pochodnie u sufitu. Gdy weszli do całkowicie ciemnej sali, mruknęła:

– Wojna się zbliża, zupełnie jak 61 lat temu…

Ponownie pstryknęła palcami. Tym razem zapaliły się wszystkie pochodnie w zasięgu wzroku. Sala nie była wielka, mogła mieć maksymalnie sześć na sześć metrów. Na pierwszy rzut oka była kolejną grotą, ale jak się przyjrzeć, to na ziemi narysowano okręgi, a obok wejścia ze schodów znajdowała się wnęka ze sprzętem.

Niespodziewanie Callavis zaczęła okropnie kichać. Corrigan przestraszył się, że coś jej się stało i podskoczył do niej, ale ona, zatkawszy jedną ręką nos, drugą zaczęła kręcić w powietrzu. Wiatr zaczął krążyć po pomieszczeniu, zabierając ze sobą warstwę kurzu. Po chwili tego dziwnego tańca na środku sali, wiatr z całym kurzem wyleciał z sali przez wyjście na schody.

– To tragiczne, ile kurzu może zgromadzić się, odkąd rok temu skończyłam trening Marthy i Rudolfa – burknęła. Skierowała się do wnęki i wyciągnęła z niej dwie szpady. – Zaczniemy od szermierki, ponieważ to bardzo przydatna umiejętność, gdyby Pherr znalazł sposób na ograniczenie twoich mocy. Poza tym nie wiem, czy uda się nauczyć Ósmego Daru, a nauka walki wręcz trochę zajmuje.

Podała mu jedną szpadę i odeszła na środek. Stanęła przed nim w szermierczej pozycji – jedna noga z przodu, szpada wycelowana w przeciwnika, druga ręka zaciśnięta i schowana za plecami. Brodę trzymała wysoko. Wiek dodawał jej dostojeństwa.

Podszedł do niej, próbując naśladować jej postawę.

# Rozdział V

# Otwórz oczy

Do pokoju wrócił cały obolały. Rzucił się na łóżko. Zasnąłby, ale Callavis sekundę po tym, jak zamknął oczy, weszła do pokoju.

– Jeszcze nie czas na sen, gamoniu!

Z trudem rozchylił powieki i ujrzał ją z dwoma opasłymi tomiskami i zeszytem po przejściach w rękach. Z hukiem położyła książki na podłodze obok wezgłowia łóżka Corrigana.

– Co to jest? – zapytał, podnosząc się do pozycji siedzącej.

– To jest podstawowy podręcznik do przyswojenia sobie Darów – wskazała ręką na księgę w brązowej okładce. – Ich rozległe opisy i instrukcje, które bez nauczyciela niestety na niewiele ci się zdadzą, ale przynajmniej będziesz przygotowany, na to, co cię czeka. To – pokazała wolumin w czarnej okładce z wytłoczonymi, złotymi napisami – opowie ci całą historię, od pierwszych Obdarowanych aż do rozejmu z Lucyferem.

Jako ostatni podała mu wyświechtany zeszyt.

– Tu zapisałam wszystkie moje wspomnienia z wojny i ćwiczeń innych Obdarowanych. Pomogą ci zapełnić dziury w głowie, które pozostawiają sobie tamte książki.

Oblizała wargi, jakby zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć.

– Czytaj je w przerwach między treningami, a znajdziesz odpowiedzi na większość pytań i nie będziesz już mnie dręczyć.

Pospiesznie przejrzał książki. Ta od historii składała się głównie ze ściany tekstu, za to podręcznik miał wiele ilustracji, które najprawdopodobniej pokazywały działanie Darów. Zeszyt był cały zapisany.

– Czy będę uczył się tylko szermierki? – zapytał.

– Oczywiście, że nie, gamoniu. Na początek nauczę cię darów najbardziej przydatnych w bezpośredniej walce, czyli Czwartego, Ósmego i Jedenastego. Poczytaj o nich w książce.

– A Pierwszy?

– On nie przyda ci się, chyba, że w bardzo zaawansowanej formie, gdy na bieżąco widziałbyś ruchy przeciwnika…

– Tak, jak zobaczyłem, że Lucian rzuci we mnie kulą ognia, zanim to zrobił?

– Tak, chyba tak. To przydatne, ale jedynymi, który się tego nauczyli, byli Jean–Claude de La Faucon w XIV w. oraz Dogo Nievas. Nie będziemy na to teraz tracić czasu. Dobranoc, Corrigan.

Już miała wyjść, gdy zapytał:

– Poczekaj. Dlaczego w ogóle mnie szkolisz?

Odwróciła się, stojąc w drzwiach.

– Od pięćdziesięciu trzech lat trenuję wszystkich młodych Obdarowanych, którzy wyrażą taką chęć.

Przewidując dłuższą rozmowę, usiadła na łóżku przy stopach chłopaka. Odetchnęła głęboko.

– Widzisz… Gdy podpisałam rozejm z Lucianem Pherrem, kończący wojnę między nim a Obdarowanymi, wszyscy uznali, że to nie pokój, a zawieszenie broni na kilkadziesiąt lat. Postanowiliśmy żyć ze sobą w przyjaźni i ścisłym kontakcie, aby w razie ataku Lucyfera stanąć ramię w ramię. Oprócz tego podzieliliśmy się na dwie, nieformalne grupy. O pierwszej już ci trochę opowiadałam. Uznali, że jedynym sposobem na ocalenie świata i życia ich potomków jest nieuświadamianie ich o Darach – ponieważ Pierwszym Darem jest Widzenie Przyszłości, które na początku objawia się tylko w snach, nie brano by ich na poważnie. Diabły na szczęście nie wiedziały, że Moc, która jest w Obdarowanych, ignoruje połowę praw genetyki i objawia się w każdym potomku Obdarowanego. Dali sobie wmówić, że allele dominujące się skończyły, te dzieci nie są Obdarowane i tak dalej – machnęła ręką. – Druga grupa postanowiła być gotowa na wojnę. Trenowali swoje dzieci w Darach, na zmianę przysyłając ich do mnie.

Westchnęła i pogładziła Corrigana po stopach.

– Wojna się zbliża, czego znakiem jest porwanie ciebie przez Pherrów. Jesteś też najbardziej zagrożony, bo widziałam cię, gdy przebywałeś w ich domu, co znaczy, że jesteś jedynym, który oparł się przynajmniej niektórym czarom Alberta. Będzie chciał cię zniszczyć, a pragnienie zemsty tylko doleje oliwy do ognia.

Pokręciła jeszcze głową ze zrezygnowaniem, po czym wstała.

– Koniec na dziś, bo przez te twoje pytania, mały gamoniu, zdarłam sobie gardło – oznajmiła i już jej nie było. Corrigan, zamknąwszy powieki, od razu zasnął.

\*\*\*

Następnego dnia w kuchni czekał na niego stosik naleśników z twarogiem i syropem klonowym oraz, a jakżeby inaczej, paląca kolejnego papierosa Callavis.

– Nie powinnaś tyle palić. To źle robi na zdrowie.

Roześmiała się. On uniósł brwi.

– Jeszcze musisz sobie sporo poczytać – rzekła, chichocząc. – Dar Jedenasty –Samoleczenie. Jak myślisz, ile mam lat?

Przyjrzał się jej uważnie. Miała siwe włosy, raczej gęste, bo zawsze związane w potężny kok z tyłu głowy. Jej twarz była pokryta zmarszczkami i bliznami po oparzeniach, ale bystre oczy o czarnych tęczówkach sprawiały, że nie wyglądała jak typowa staruszka.

– Maksymalnie siedemdziesiąt – odpowiedział w końcu. Ona uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając zęby.

– Równe dziewięćdziesiąt – oznajmiła dumnie.

– Nie wierzę ci.

– Kochaniutki, to Dar Trzynasty. Spowolnione starzenie.

– Rozumiem.

Zabrał się za jedzenie. Jedno musiał przyznać – posiłki przyrządzała wyśmienicie. Pałaszował, aż mu się uszy trzęsły, a kobieta przyglądała mu się z wyraźnym zadowoleniem.

\*\*\*

– Dobra, przerwa.

Opadł bez siły na ziemię. Callavis rzuciła mu butelkę wody. Napił się trochę i położył. Dyszał ciężko.

– Dobrze ci dzisiaj poszło – powiedziała, siadając obok.

– Dzięki. Zawsze jest tak ciężko?

– Ze mną tak.

Westchnął.

– Jeśli to cię pocieszy, to innym szło gorzej.

– Och, świetnie.

Znowu przez chwilę milczeli.

– Czy gdy skończymy szkolenie, zobaczę się z Beatrice?

– Tak. Ale nie wcześniej.

– Dlaczego?

– Bo ona będzie rozpraszać ciebie, a ty ją. No już, wstawaj, teraz spróbuj teleportować się dalej niż metr.

\*\*\*

Przez następne osiem miesięcy każdy jego dzień wyglądał tak samo: śniadanie i rozmowa z Callavis, ćwiczenia Darów, obiad, przerwa na czytanie, ćwiczenia fizyczne, podwieczorek, jakiś niekonwencjonalny trening, kolacja i użycie Darów w walce, a następnie spać. Oczywiście z przerwami na prysznic, pogaduchy, przekąski i podobne. Musiał przyznać, że była jednym z najlepszych opiekunów czy nauczycieli, jakich kiedykolwiek miał. Karmiła go należycie, dzięki czemu zawsze miał energię i nie chodził głodny. Zrobił duży postęp. Nauczył się Czwartego i Ósmego Daru, jedynie z Jedenastym miał problem. Przez ten czas dowiedział się również całej teorii zgromadzonej w podręczniku, zaznajomił się z historią świata, opisaną z punktu widzenia Obdarowanych oraz poznał szczegóły wojny Lucyfera z Dogo Nievasem. Szkoda mu było tylko, że w żadnej książce nie znalazł nic o życiu swej nauczycielki, oprócz tego, że negocjowała z Lucianem pokój w 1964, bo Nievas zginął w bitwie pod Ipswich rok wcześniej.

Z zajęć najbardziej lubił niekonwencjonalny trening po podwieczorku. Wychodzili wtedy z groty za wodospadem. Czasami szli do lasu, gdzie Corrigan poznawał tropy zwierząt, trujące i jadalne grzyby i owoce oraz metody albo biegał. Innym razem poszli nad leśne jezioro, gdzie pływał albo do miasteczka na zakupy. Potem Callavis goniła go z siatami do domu na pieszo, ale podobał mu się powrót do cywilizacji. Chadzali też po górach. Wybierali się do różnych znajomych kobiety, którzy pokazywali chłopakowi inne sposoby walki i korzystania z Darów, bo, jak twierdziła Callavis, każdy specjalizował się w czymś innym i mógł nauczyć go więcej, niż ona. Opanował strzelanie z łuku i kuszy u Robina Hooda, Madame Catherine nauczyła go Daru Szóstego, czyli Rozmowy z naturą (co było interesującym zajęciem, ponieważ słyszał, co mówią do niego kwiaty, kamienie i drzewa), a Mathieu de La Faucon i jego urocza żona Veronica zasad etyki godnej młodego dżentelmena. Jego nauczycielka uważała, że musi poznać innych Obdarowanych, dlatego często odwiedzali różne rodziny. Nieszczęśliwie dla Corrigana, nie przybyli do domu Harry’ego Hurredainta. Co prawda Callavis groziła, że jeśli nie zacznie robić postępów w Samoleczeniu, zamiast tego będzie ćwiczyć w grocie, ale nadal wychodzili. Najwyraźniej czasami nawet ona nie mogła wytrzymać w zamknięciu. Albo uznała, że jeśli nie udało się mu z pomocą samego doktora Wolvensteina, ona nic nie zdziała.

Jednym z bardziej przyjemnych aspektów tych treningów była poprawa sylwetki chłopaka. Zamiast warstwy tłuszczyku na brzuchu pojawił się kaloryfer, mięśnie na rękach i klatce piersiowej powiększyły się i stały twardsze, a nogi wróciły do stanu przed złamaniem. Również jego twarz zmężniała, głównie przez bliznę i zarost czego Callavis nie omieszkała wypomnieć na pewnym wieczornym treningu.

– W końcu wyglądasz jak mężczyzna – stwierdziła po tym, jak jego koszulka po jej cięciach opadła na ziemię.

– Zrobiłaś to specjalnie – burknął z rumieńcem na twarzy zbierając resztki ubrania z podłogi.

– Może – zakręciła sztyletami w dłoniach. – Daj mi się czasami kimś nacieszyć. Nie spotykałam się z nikim, odkąd mój mąż zmarł.

Wyczuwając idealną okazję do krótkiej przerwy w treningu, zapytał:

– Jak to się stało?

Nie dała się sprowokować na dłuższą historię.

– W czasie wojny z walczył po stronie Obdarowanych. Do czasu, aż zginął w zasadzce, zwanej bitwą pod Ipswich – powiedziała, przecierając sztylet ubraniem. – Twój dziadek, który był wtedy z nim, powiedział, że zabili połowę diabłów, zanim mój mąż został ogłuszony i otoczony, a twój dziadek, uznawszy sprawę za przegraną, teleportował się do mnie – jej głos posmutniał. – Nie mam do niego żalu, i tak od tamtego czasu przestałam widzieć męża w wizjach. Umarł.

– Dlaczego nikt nie przyszedł im na pomoc?

– Alfred – wywróciła oczami. – Rzucił zaklęcie, że Obdarowani nie mogli widzieć, co się dzieje z diabłami. Tak trudno się domyślić? Inaczej wojny by nie było, tak samo jak ich obecności na Ziemi.

– Przecież widziałem Ophelię i Luciana w snach, a ty mnie w ich domu.

– Myślisz, że wiem, dlaczego tak się dzieje? Jesteś najbardziej wyjątkowym płateczkiem śniegu – zakpiła. – Dlatego Pherrowie tak bardzo chcą cię dostać w swoje łapska.

– Wiem.

– Gratulacje, dostaniesz medal. Wstawaj, już dosyć straciliśmy czasu.

Gdy tylko ustawił się do pozycji bojowej, ruszyła. Teleportowała się szybko jak nigdy. Cięła sztyletami, aż na jego skórze pojawiło się kilkadziesiąt piekących draśnięć. Jednocześnie atakowała kopniakami i szturchnięciami, o które Corrigan w życiu nie podejrzewałby żadnej kobiety, tym bardziej w takim wieku! Nawet nie miał jak zareagować. Najpierw wytrąciła mu broń z rąk, a następnie przewróciła na ziemię.

– Przegrałeś – powiedziała, trzymając czubek szpady stworzonej przez Dar Ósmy tuż przy jego szyi. Przełknął ślinę.

– Nie byłem gotowy.

– W walce z Lucianem też nie będziesz? – zakpiła.

– Chcę rewanżu! – krzyknął butnie. Zaśmiała się ironicznie.

– Już to widzę. Idź już spać, bo jesteś dzisiaj do niczego.

Po tych słowach teleportowała się. Corrigan został sam.

Idąc do swojej sypialni, obolały chłopak nie pluł sobie w brodę, że rozzłościł mentorkę pytaniami o męża. No, może było mu jej trochę żal, ale dzięki temu dowiedział się jednej, bardzo ważnej rzeczy – przez ostatnie osiem miesięcy dawała mu ogromne fory.

Od tamtego czasu zwiększyła się tylko zaciętość Corrigana w walce. Wprawiło to Callavis w zdziwienie. Mimo że nadal wygrywała, po powaleniu chłopaka na ziemię czuła się coraz bardziej zmęczona.

– Wstawaj – podała mu rękę. Oboje dyszeli ciężko. – Wracamy na górę.

Teleportowali się do kuchni. Chłopak zacząć przyrządzać gorącą czekoladę, a kobieta zapaliła papierosa.

Postawił przed nimi napoje i usiadł.

– Nie wiem, czy to ja się zestarzałam, czy ty w końcu zrobiłeś dobry. Nie szczerz się tak! – podniosła głos, widząc, że uśmiecha się od ucha do ucha. – Nie zapominaj, że mam dziewięćdziesiąt lat, od pięćdziesięciu żyję w wilgotnej grocie i palę jak smok, co cały czas mi wypominasz. Przyznaję, rozłożenie cię na łopatki jest coraz trudniejsze. Być może niedługo mnie pokonasz – wzruszyła ramionami. – Ale i tak powinieneś spróbować z kimś innym. Jutro zadzwonię do mojego przyjaciela Simona. Mam nadzieję, że akurat przebywa w kraju i zgodzi się ciebie przejąć.

Zgasiła peta, wzięła kubek z czekoladą i skierowała się ku swojej sypialni.

– Dobranoc, Corrigan.

– Dobranoc, Callavis.

\*\*\*

Dwa dni później wszystkie jego rzeczy znalazły w pokaźnych rozmiarów walizce. Pakując się, pomyślał, że będzie za tym tęsknić – laniem od Callavis, biegami po lesie, wieczorną czekoladą, lampkami choinkowymi na korzeniu przy suficie, a nawet wszechobecnymi wilgocią i kurzem.

– Gotowy? – złapała go za rękę.

– Gotowy.

Teleportowali się prosto do salonu Simona. Corrigan prawie się przewrócił, gdy zorientował się, gdzie jest. Znał ten salon, a co gorsze – należał do jego byłej dziewczyny.

# Rozdział VI

# Powroty

Simon, ku zdziwieniu Corrigana, uściskał go po ojcowsku.

– Witaj ponownie, Corri.

Callavis nie wyglądała na zaskoczoną. Cień uśmiechu na jej twarzy sugerował, że o powiązaniu chłopaka z Martonami wiedziała doskonale i z tego powodu nie wspomniała nazwiska Simona, a teraz miała niezły ubaw.

– To ja się zmywam. Bądź grzeczny – powiedziała i zniknęła.

Corrigan nie wiedział, jak ma się zachować. Na szczęście jego niedoszły teść był wyrozumiałym człowiekiem.

– Caroline jest u koleżanki. Napijesz się czegoś? – zapytał, jak gdyby nigdy nic.

– Tak, poproszę kawę.

Usiadł przy stole. Pan Marton uprzejmie zapytał, co u niego słychać oraz jak oceniał swoje postępy pod czujnym okiem Callavis. Opowiedział wszystko, od Czwartego i Ósmego Daru, poprzez władanie bronią białą, do umiejętności z wizyt u znajomych mentorki. Pan Marton słuchał go z uwagą, od czasu do czasu kiwając głową.

– Rozumiem. Z tego co mi opowiadasz, nauka idzie ci dobrze. Muszę jednak sprawdzić wszystko w praktyce.

Wstali od stołu i udali się do pustego pokoju na piętrze. Zaczęła się walka. Ruchy Simona przypominały raczej taniec, niż mocarne ciosy. Technikę walki też miał inną, niż Callavis – teleportowała się i cięła przeciwnika, gdy się tego nie spodziewał; on przemieszczał się delikatnie, jakby płynął, a ciosom nadawał niebywałą grację. Chłopak korzystał ze stylu mentorki oraz technik, które wybrał z podręcznika walk. Teleportował się i uderzał albo skakał, turlał się, tworzył pociski mocy. To jednak nie wystarczyło, by pokonać doświadczonego wojownika. Tę walkę również skończył na podłodze, ale mniej poturbowany, niż przy walkach z Callavis.

– Dobrze ci poszło – pokiwał głową z uznaniem. – Nie spodziewałem się, że po dziesięciu miesiącach można tak się bić. Babuszka potrafi zaskakiwać.

– O taak…

– To co, próbujemy jeszcze raz?

– Jasne.

Simon podał mu broń i zaczęli taniec.

\*\*\*

Akurat zeszli na parter, gdy trzasnęły drzwi wejściowe. Corrigan prawie zderzył się z Caroline.

Simon gdzieś się ulotnił. Dawni zakochani stali przed sobą. Chłopak miał nogi jak z waty. Co miał jej powiedzieć? Że żałuje, że zerwali? Że za nią tęsknił? Przeprosić, że od dwóch lat się do niej nie odzywał?

Nieoczekiwanie dziewczyna rzuciła mu się w ramiona. Poczuł jej paznokcie, wbijające się w plecy. Ostrożnie odwzajemnił przytulenie.

– Nie siedźcie do późna – poprosił pan Marton, tym razem naprawdę zostawiając ich samych.

– Eee…

W końcu zaproponował, aby usiedli.

– Niewiele się tu zmieniło, odkąd przestałem tu przychodzić – zaczął. Milczała, cały czas wpatrując się w niego swoimi wielkimi, kobaltowymi oczami. Poczuł niepokój.

– Caroline, ja… ja przepraszam, że nie odzywałem się, odkąd… odkąd zerwaliśmy – wydukał. Wtedy z jej oczu poleciały łzy. Serce podeszło mu do gardła.

– Nie o to chodzi – wykrztusiła. – Po prostu… nie mogę uwierzyć, że żyjesz.

Zmarszczył brwi.

– Półtora roku temu dotarła do nas wiadomość o pożarze twojego domu. Powiedziano, że twoi rodzice zginęli, a ty jesteś na oddziale intensywnej terapii i… i… Byłam na twoim pogrzebie, do cholery! – rozpłakała się na dobre. Corrigan poczuł, że musi ją jakoś wesprzeć. Nie miał pojęcia, o czym mówiła, ale nie przeszkadzało mu to w przytuleniu jej i otarciu łez.

– Cii, jestem tu, przy tobie – pocałował ją w czoło.

– J–ja tak za tobą tęskniłam…

– Ja za tobą też.

Po godzinie gadania o niczym, przerywanego pociąganiem nosa, dziewczyna sama poruszyła drażliwy temat.

– Proszę, wytłumacz mi, jakim prawem żyjesz. - Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, wyjęła z barku butelkę wina i kieliszki.

– Na trzeźwo tego nie zdzierżę – usprawiedliwiła się.

Mając pomoc w czerwonym napoju, zaczął opowieść. Od tego, że po pożarze znajdował się w szpitalu, gdzie praktycznie był sam, poprzez dziwne zdarzenia w domu Pherrów, Beatrice, a potem trening z Callavis oraz to, czego się od niej dowiedział. Caroline początkowo nie chciała mu wierzyć, ale ostatecznie pomstowała na Pherrów bardziej niż on sam. Wtedy przeszli na temat jej życia. W duchu podziękował jej, że od jego rzekomej śmierci z nikim się nie umówiła, tylko skupiła na nauce.

Alkohol robił swoje. Praktycznie leżała mu na kolanach. Bawiła się jego włosami, których tak dawno nie ścinał, że były dłuższe od jej własnych. Droczyli się o jakieś bzdurki, gdy ona nagle podniosła się do pionu.

– Mam pomysł. - Wstała i pociągnęła go do drzwi. – Chcę zrobić coś, czego pragnęłam od bardzo dawna, ale nie miałam z kim.

\*\*\*

Gdyby ktoś kiedyś mu powiedział, że będzie wiózł nabzdryngoloną jak ruska łódź podwodna Caroline w wózku sklepowym po ostatnim piętrze parkingu, wyśmiałby go.

– Łuhuuu! – śmiała się. – Jak Titanic!

Pchnął wózek. Caroline podniosła ręce, palce ułożyła w znak „V”. Krzyczała z radości. Gdy po kilku metrach zatrzymała się, podbiegł do niej. Pochylił się nad nią i pocałował.

– Tęskniłam z tobą – wyszeptała.

– Ja też, księżniczko – wyjął ją z wózka i przycisnął do siebie. Wtulił twarz w jej włosy. Uświadomił sobie, jak bardzo mu jej brakowało.

Nagle, bez żadnego powodu, wiatr na dachu gwałtownie przyśpieszył. Caroline oderwała się od niego. Krzyknęła. Na początku nie rozumiał, co się stało. Później serce podskoczyło mu do gardła.

Przed nimi stał Lucian Pherr. Ale to nie był zwykły Lucian Pherr – wyperfumowany elegancik z równo podciętą kozią bródką. Z jego głowy wyrastały dwa potężne, lekko zakręcone rogi, skóra była karminowa, a błyski z oczu i złowieszczy uśmieszek można było dostrzec z kilkunastu metrów. Wiatr został spowodowany przez ogromne skrzydła, również należące do demona.

– No, no, no – zaśmiał się, trzymając ręce złożone. – Wydawało mi się, że ta kurwa Callavis będzie bardziej pilnować waszej dwójki. Cóż... Jak kota nie ma, to myszy harcują...

Zaśmiał się swoim potwornym, głośnym śmiechem. Ruszył na Corrigana i Caroline, ze skrzydłami jak kosy.

Tak jak wyszkoliła go Callavis, chłopak teleportował się za agresora. Zmaterializował w dłoni broń, jednak sztylet był bledszy i mniejszy, niż na ćwiczeniach. Ponownie teleportował się tuż za plecami Lucyfera i ciął. Przez procenty w krwi zrobił to za wolno i stracił równowagę. Przewrócił się na plecy. Pherr roześmiał się głośno.

Ręka z czarnymi pazurami na kilka centymetrów złapała szyję Corrigana. Zemdlał.

\*\*\*

Chwilę zajęło mu zrozumienie, co się dzieje.

Leżał przykuty łańcuchem do ściany. W gardle suszyło go niemiłosiernie. Głowa pulsowała tępym bólem. Tylko przez lufcik u sufitu wpadało mocne światło, co sugerowało ranek bądź południe. Po drugiej stronie celi siedział jakiś starzec z długą brodą, od którego porządnie cuchnęło. Corrigan nie był w sumie pewien, czy ten człowiek śpi czy nie żyje.

Próbował się poruszyć, ale uniemożliwiały mu to łańcuchy i ból, więc zrezygnował. Starał się użyć któregoś z Darów, ale czuł, jakby coś go blokowało. Sygnały do komunikacji z Callavis albo Simonem zawracały. Nie słyszał szeptów głazów, a za każdym razem, gdy chciał się teleportować, po jego ciele przechodził prąd.

Nie minęło dużo czasu, gdy otworzyły się drzwi i weszły dwa nieznane diabły, niosące nieznaną osobę w zakrwawionej koszuli, wyglądającą na nieprzytomną. Rzuciły ją na ziemię przy ścianie między starcem a Corriganem. Gdy jeden chciał przypiąć ją łańcuchem, drugi powiedział:

– Zostaw, przecież nie da rady zwiać.

Ten pierwszy walnął się dłonią o czoło.

– Debilu, sam słyszałeś rozkaz szefa, tak?

Drugi zmarszczył brwi.

– Te kajdany mają hamować ich moce, ciemnoto!

Przy takim obrocie sprawy ten drugi roześmiał się nerwowo. Pierwszy, zaniemówiwszy z powodu głupoty kolegi, sam wsadził ręce torturowanej do kajdan, a następnie już wspólnie zabrali się za Corrigana. Odpięli od ściany i prowadzili w stronę wyjścia, trzymając z skrzyżowane na plecach ręce. Nastolatek jeszcze raz zerknął w stronę ofiary. Krzyknął, gdy rozpoznał Caroline. Próbował wyrwać się strażnikom, ale poddał się po uderzeniu w głowę. Poprzysiągł, że przetrwa wszystko, co mu zrobią i wyciągnie ich stąd.

\*\*\*

Zdjęto mu koszulkę oraz przypięto kajdanami do sufitu. Wtedy został sam, ale nie na długo. Pojawił się Lucian Pherr, z powrotem w swojej dandysowatej formie.

– Chciałem po dobroci – powiedział ze smutkiem w głosie. W jego ręku zmaterializował się ognisty bicz. Uderzył Corrigana parę razy. Chłopak darł się wniebogłosy.

– Gdzie jest Callavis? – diabeł schował narzędzie tortur.

Corrigan zacisnął usta. Nic mu nie powie, choćby miał sczeznąć!

– To może inne pytanie. Jak działają Dary? Skąd się biorą? – próbował dalej Lucian.

Chłopak milczał. Lucyfer westchnął, a w jego ręce ponownie pojawił się bicz.

\*\*\*

Gdy wieczorem został wrzucony do celi, był na skraju wytrzymałości. Lucyfer bił go ognistym biczem albo pałką, wbijał pazury i dusił, a gdy chłopak mdlał, cucił go lodowatą wodą. Czuł jednak dumę, że nie odpowiedział na żadne z pytań diabła. Beatrice, Callavis i cała społeczność Obdarowanych będzie bezpieczna… przynajmniej do czasu, aż nie zostanie złamany. Tego momentu bał się najbardziej. Gdy wyniszczony bólem, na skraju śmierci, cienkim głosem wyzna wszystko – adresy ludzi, którzy go uczyli, położenie groty za wodospadem, wymieni Dary i ich działanie – a po tym wszystkim osunie się na ziemię i wyzionie ducha.

– Corrigan!

To była Caroline. Otworzył oczy i zobaczył jej zapłakaną twarz. Siedziała przypięta do ściany. Naprężyła łańcuchy, aby znaleźć się jak najbliżej niego.

– Spokojnie, dziecko, on żyje – usłyszał ochrypły głos z południowoamerykańskim akcentem. Gdy odwrócił głowę, zobaczył, że starzec, którego podejrzewał o bycie trupem, uśmiecha się do niego bezzębnymi ustami zza skołtunionej brody.

– Kim jesteś? – zapytał chłopak resztkami sił.

– Wiem, że nic nie wiem. Klaunem, który zabawił się z Diabłem. Hahaha.

Corrigan wywrócił oczami. Oparł się o ścianę, a jej chłód przyniósł mu ulgę.

– Pamiętajcie, dzieci. Kiedyś dogonię was. To się niedługo skończy. Hahaha. Musicie patrzeć dalej, niż widzicie, dzieci. Zawołajcie naprzeciwko!

*Szaleniec*, pomyślał. *Też się taki stanę?* Wykończony, zasnął snem bez wizji.

# Rozdział VII

# Zryw

– Gadaj! Jak ta szmata widziała Cię pomimo czarów Alfreda?! Gadaj, jak tu trafiła! – coraz bardziej wściekły Lucian. Z nadludzką siłą uderzał w Corrigana ognistym biczem. Z ust chłopaka wydobywały się krzyki bólu, ale nie miał zamiaru wypowiedzieć ani słowa w ramach odpowiedzi. Rany płonęły bólem za każdym trzaśnięciem bicza.

Lucyfer przestał uderzać, obszedł go i pazurami złapał chłopaka za policzki.

– Jeszcze raz. Gdzie jest Callavis?

Corrigan spojrzał w czerwone tęczówki załzawionymi oczami.

– Nigdy się nie dowiesz – splunął.

Lucyfer jeszcze bardziej poczerwieniał.

– Wytrzymujesz trzy dni moich tortur…

– Najwyraźniej nie jesteś zbyt dobrym katem… – prychnął Corrigan. W demonie zagotowało się.

– Ty…

Nie dokończył, bowiem drzwi otworzyły się i do pokoju wpadła Ophelia z córkami. Dziewczynki płakały, a kobieta była śmiertelnie przerażona.

– Oni tu są! – krzyczała do męża.

– Co? – Lucian podszedł do niej. Złapała go za rękę i wyciągnęła z pokoju. Córki pobiegły za nimi. Corrigan został sam. Nie próbował zastanawiać się, o co chodzi. Zamknął oczy, rozkoszując się chwilą, w której płomienie go nie dotykały. Słyszał szum lasu, który tak odprężał Luciana Pherra.

Wtedy usłyszał dźwięk, jakby pękły wszystkie szyby w komnacie. Duchotę panującą w pomieszczeniu odświeżył podmuch letniego wiatru. Rozchylił powieki i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przed nim stali Callavis, Simon Marton i Veronica de La Faucon. Podbiegli do niego. Odczepiono jego ręce od sufitu i położono go na podłodze w ramionach Callavis.

– Corrigan, jak się czujesz? – zapytała, chociaż głos jej drżał. Nie odpowiedział, nie miał siły.

– Veronico, pozbądź się jego kajdan.

– Są z…

– Tak. Pełno kryształków. Uważaj, żebyś się nie zraniła.

– Ja? Nie masz się o co martwić, babciu – dodała z filuternym uśmieszkiem. Ręce Corrigana wysunęła w sposób, aby okowy znajdowały się bezpośrednio nad podłogą. Wyprostowała nad nimi swoje dłonie. Corrigan poczuł ciepło, a metal zaczął parować. Po chwili czerwone krople zaczęły wypływać z obręczy, tworząc z niej sitko. Corrigan momentalnie poczuł się lepiej. Veronica, upewniwszy się, że wszystkie kryształki są już na dywanie, złamała przedziurawione okowy.

– Gotowe.

– Corriganie – zaczął Simon – czy wiesz, gdzie jest ukryta moja córka?

– Tak – potwierdził i wytłumaczył drogę do celi w piwnicy. Simon i Veronica wybiegli. Odezwała się Callavis.

– Zabieram Cię do Victora Wolvensteina. - Miała złapać go za przegub, ale nie pozwolił jej na to.

– Zostaję. Muszę się zemścić.

– W takim stanie? Jesteś gamoniem.

– Wiem. Gamoniem pragnącym zemsty. Choćbym miał zginąć, pomszczę wszystkie krzywdy Beatrice, moich rodziców i Obdarowanych.

Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek, jakby powstrzymywała się, aby nie zacząć go wyzywać.

– Szlachetne – prychnęła. – Pamiętasz Jedenasty Dar?

– Tak.

– Nigdy nie wyleczyłeś choćby najmniejszego ukłucia.

– Dam radę.

Zacisnął powieki. Skupił się jak nigdy dotąd. W myślach modlił się, aby w końcu mu się udało. By mógł tu zostać i dopełnić swej zemsty.

Nagle poczuł, jak z jego mózgu wypływają strumienie mocy. Tak, jak woda płynąca po skórze, tylko w środku. Moc rozeszła się po ciele, łaskocząc skórę na plecach i klatce piersiowej, a także szyi, twarzy i rękach. Czuł, jak rany przestają piec, a przeciążone stawy uwalniają się od bólu.

W końcu otworzył oczy. Na twarzy Callavis malowało się zdumienie.

– Udało ci się… – wyszeptała.

– Tak, nareszcie – uśmiechnął się Corrigan i wstał. – Najwyraźniej potrzebowałem większej motywacji niż nakłuty palec. Idziemy?

Energia w jego ciele była odnowiona, jakby tortury nigdy nie miały miejsca. Wstali z podłogi. Callavis szybko otrząsnęła się z szoku. Pobiegła za nim.

– Nie dasz rady sam przeciwko Lucianowi, nie licz na to – krzyknęła. – To Książę Piekła, do cholery!

Puścił jej słowa mimo uszu.

– Chcesz zginąć?

– Nie zginę.

Zderzył się ze ścianą, której sekundę wcześniej tam nie było. Odwrócił się. Staruszka zamknęła go w klatce. Starał się wyjść, ale energia cały czas go odpychała.

– Nie pójdziesz bić się z Pherrem – warknęła. – Celem całej akcji było uratowanie twojej nierozsądnej dupy. Dostanę sygnał od Simona, że Caroline jest bezpieczna i cała akcja dywersyjna zostaje zakończona.

– Callavis! – krzyknął błagalnie. – Nie możemy zmarnować takiej okazji! Wiem, że jesteśmy w stanie pozbyć się ich raz na zawsze!

– Nie jesteśmy! – ryknęła na niego. – Wydaje ci się, że ogarnąłeś parę Darów i jesteś teraz niepokonany?! Nie, nie jesteś, a takie myślenie sprowadzi na ciebie zagładę, gamoniu! Lucyfer to diabeł, demon, który własnoręcznie odesłał z ziemskiego padołu setki, jeśli nie tysiące Obdarowanych! – wrzeszczała przez łzy. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej płakała, nawet przy wspominaniu męża.

– Więc może to czas, żeby w końcu ich pomścić?

– Poświęcając życia kolejnych?

– Callavis, posłuchaj – starał się przybrać spokojny ton. – Ty też kogoś kochałaś, prawda? Wiele lat temu. Nie sądzisz, że to ostatni moment, w której możemy oddać cześć jego pamięci i pomścić jego śmierć?

Pociągnęła nosem.

– On i Dogo Nievas byliby dumni, że dokończyłaś coś, za co oni poświęcili życie.

Klatka z Mocy zaczęła pulsować, chybotać się.

– Przestań uciekać, Callavis! Robisz to przez całe życie. Stań twarzą w twarz ze swoimi demonami i pozwól mi stanąć z moimi!

Kobieta podniosła wzrok.

– Nigdy.

Klatka jeszcze bardziej wzmocniła swe ścianki.

– Zniknie w chwili mojej śmierci lub kiedy jej na to pozwolę – rzekła, po czym pobiegła w kierunku schodów. Corrigan został sam. Spróbował się teleportować, ale klatka skutecznie nie pozwalała mu ruszyć się z miejsca. Zagotowało się w nim.

*Z pomocą Obdarowanych jestem w stanie pokonać wszystkie pomioty Szatana w tym domu*, myślał, cały czas uderzając w ściany klatki. *Dlaczego ona na to nie pozwala?!*

Wykonał kolejne uderzenie pięścią. Skóra na kostkach zdarła się, powodując lekkie krwawienie. Ryknął ze złości. Tupnął nogą. Dywan zamortyzował stuknięcie. Wtedy w jego głowie narodził się pewien pomysł. Przywołał młot wyburzeniowy i zaczął niszczyć podłogę pod sobą. Po dłuższej chwili spadł razem z falą gruzu. Podniósł się na nogi i otrzepał ubrania z kurzu. Mathieu i Inga patrzyli na niego, jak na ducha. Przez chwilę był zdezorientowany, ale później znalazł odpowiedź – spadł wprost na zielonoskórą kobietę, w której rozpoznał dobroduszną pokojówkę Gwen.

Panna Chimneys jako pierwsza opuściła broń.

– Chyba ją zabiłeś… – mruknęła, dotykając twarzy z niewidzącymi oczami czubkiem buta.

– Wypadałoby ją związać na wszelki wypadek – dodał mężczyzna. – Nigdy nie wiadomo, czy to nie jest jakaś sztuczka…

Corrigan przyznał mu rację. Zapytał jeszcze, czy nie widzieli Luciana, a na odpowiedź, że nie, pobiegł na parter. Z daleka zobaczył pana Hooda i Serenę Pines walczących z wielkim, białym kotem z rogami. Zawrócił, pobiegł w stronę kuchni. Wolał nie tracić bezsensownie energii.

Wtem usłyszał jakieś trzaski na podwórku. Wybiegł kuchennymi drzwiami. Nie pomylił się. Piekielna forma Pherra stała na jakimś nastoletnim chłopaczku, którego krew wylewała się na dopieszczoną trawę. Obok stała rozwalona fontanna i altanka w drzazgach.

Corrigan był na to przygotowany. Złość płynęła w jego żyłach razem z krwią. Gorące pragnienie zemsty rozpierało umysł i serce.

– Pherr, ty psie!

Demon odwrócił się w jego stronę. Zdziwiło i przeraziło go nagłe ozdrowienie chłopaka.

– Ty?! W takim stanie?!

– Taki dar – rozłożył ręce z ironicznym uśmieszkiem, co jeszcze bardziej rozzłościło Luciana. Podleciał i chciał złapać chłopaka za szyję, ale ten teleportował się za jego plecy i drasnął długim i mocnym sztyletem. Gdy demon się obrócił, Obdarowany wykonał ten sam trik. Z dwóch rozcięć na karminowej skórze pociekła czarna krew. Książę Piekła ryknął z bólu i wściekłości. Błyskawicznie się obrócił się i miotnął w Corrigana kulą ognia. Chłopak teleportował się w inne miejsce, ale Pherr z zaskakującą szybkością rzucił w niego kolejną. Ta drasnęła go w ramię. Zaklął. Tym razem to diabeł się roześmiał.

– Zadawanie bólu zawsze sprawia mi przyjemność! – wrzasnął do niego. – Nie wiesz, jak wielce się radowałem, gdy dane mi było rzucić ogień na twój dom i patrzeć, jak twoi rodzice się tam smażą!

Corrigan zacisnął pięść. Podejrzewał od dawna, że Pherrowie mieli w tym jakiś udział. Teraz już był pewny.

– Gdy zniewalałem słodką Beatrice, jej krzyki były najpiękniejszą z melodii! – wydawał się krztusić się śmiechem. – A jak przed laty torturowałem Obdarowanych? Hahaha, w życiu się tak nie bawiłem! Nigdy niczego nie żałowałem i nie żałuję! Twój ból będzie trwać wiecznie!

Miarka się przebrała. Czerwony i ledwo mogący oddychać ze złości Corrigan zmaterializował sobie w ręku łuk.

*Nie pozwolę temu czerwonemu dupkowi* *zniszczyć ani jednego życia!*

Wypuszczał strzały jak karabin maszynowy. Niestety, ze wściekłości trzęsły mu się ręce, więc większość strzał nie trafiała w cel. Jedna w końcu ugodziła w idącego w jego stronę diabła w pierś. Przeszła na wylot. Kolejne strumienie krwi wypłynęły i skapnęły na ziemię. Lucyfer nic sobie z tego nie zrobił.

– Myślisz, że możesz mi coś zrobić taką wykałaczką? – zagrzmiał.

Corrigan momentalnie zniknął łuk i wszystkie strzały. Niepotrzebnie dał się sprowokować. Zużył tylko sporo energii. Mięśnie zaczęły boleć. Pluł sobie w brodę, że w tak głupi sposób zmniejszył swoje szanse na wygraną. Pozostała mu już tylko walka mieczem.

Stworzył długie, ale jednocześnie lekkie i śmiertelnie ostre ostrze. Pulsowało jasnoniebieską poświatą, jak wszystkie tworzone przez niego przedmioty. Dobrze leżało w dłoni.

Diabeł na ten widok również zmaterializował miecz w swojej dłoni. Był dwa razy większy od tego Corrigana i cały pokryty ogniem. W końcu czego można było spodziewać się po Księciu Piekła…

Ruszyli na siebie. Przed sobą oboje zamachnęli się mieczami. Ułamek sekundy przed zderzeniem się kling nastolatek znowu się teleportował. Pojawił się za przeciwnikiem, trochę z boku, dzięki czemu z zamachu wykonał idealne cięcie i rozpruł karminowy, odsłonięty bok. Jednocześnie Lucyfer uderzył, ale nie trafiając ostrzem na żadną przeszkodę, stracił równowagę. Stał pochylony i drgał lekko, oparty o miecz jak laskę.

Corrigan, coraz bardziej wymęczony tak nieroztropnym korzystaniem z Darów, odskoczył w bok. Cofał się, idąc tyłem. Lucian ryknął, gdy poczuł ból wynikający z głębokiego na kilka centymetrów rozcięcia. Złapał za ranę i próbował zahamować upływ czarnej jak swoja dusza krwi.

Corrigan powoli stawiał kolejne kroki do tyłu, myśląc nad strategią dalszej walki. Oddychał ciężko. Nie zrobi wielu cięć przy pomocy teleportacji. Musi działać zdecydowanie i wysłać Księcia Piekła do jego ojczyzny szybko. W jednym, maksymalnie dwóch uderzeniach. Po chwili wiedział już, co ma robić. Ostatnie cięcie z obrotu i przebicie przeciwnika na wylot. Na tyle powinno mu wystarczyć sił.

Jak genialny czy beznadziejny ten plan był, Corrigan nigdy się nie dowiedział. Podczas cofania od miotającego się demona, chłopak nastąpił na leżące ciało i poślizgnął się na krwi. Przewrócił się jak długi, a miecz wypadł mu z ręki. Lucyfer momentalnie dostrzegł, co się stało i w sekundę potem, ignorując lejącą się strumieniami krew, przygwoździł Obdarowanego do podłoża, stawiając na nim ciężką stopę.

W głowie usłyszał, jak Callavis wyzywa go od najgorszych gamoni i każe spróbować grać na czas, bo walczy z Alfredem i nie zostawi Marthy i Carmen na śmierć, ale zaraz znajdzie zastępstwo i przyjdzie do niego. Nie miał zamiaru tego robić, to i tak nie miało sensu. *To koniec*, pomyślał ze łzami w oczach. *Wszystko zepsułem. Teraz Lucyfer ucieknie, a za kolejnych kilkadziesiąt lat cała sytuacja się powtórzy*. Widział już rodziców, z którymi może będzie dane się spotkać i Caroline, z którą się godnie nie pożegnał. *Niech jego płomienie zmyją ze mnie moją hańbę.*

Lucyfer uśmiechał się szeroko. Podniósł miecz i wycelował w szyję chłopaka.

– To koniec, Corrigan. Odwiedzę cię w Piekle…

# Rozdział VIII

# Nieoczekiwane spotkania

Ostatnie słowa Lucyfera zostały stłumione przez krew wypływającą z jego ust. Z klatki piersiowej wystawał wielki, skrzący się na fioletowo miecz. Prawie przeciął go na pół. Oczy wyszły mu na wierzch, chrząknął parę razy i pchnięty niewidzialną siłą, upadł na ziemię razem z mieczem.

– Co ty taki oschły, ślicznotko? – odezwał się głos gdzieś w przestrzeni.

Corrigan zamrugał parę razy, by się upewnić, że to dzieje się naprawdę. W miejscu, gdzie przed chwilą stał niedoszły zabójca, pojawili się Harry Hurredaint i Beatrice. Zmaterializowali się z powietrza. Corrigan zamrugał parę razy, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje. *Teleportowali się? Nieee…*

Harry pomógł mu wstać. Widząc wyraz głębokiego szoku, poklepał go po ramieniu.

– Jesteś uratowany. Nie musisz się bać.

– Eee…

Niezręczną ciszę w końcu przerwała dziewczyna. Rzuciła się na przyjaciela.

– Tęskniłam! – krzyknęła, może trochę za głośno.

– Ja też – odwzajemnił przytulenie. – Co robiłaś przez cały ten czas? Ćwiczyłaś czytanie?

– Też! Patrz, czego się nauczyłam.

Odsunęła się od niego. Zamknęła oczy i… zniknęła. Po chwili pojawiła się w tym samym miejscu, znowu z szerokim uśmiechem.

– Dar Piąty! – powiedziała, rozentuzjazmowana. – Tata mnie nauczył.

– To bardzo użyteczne, jak widzę – wszystko, co zapamiętał o Darach, wyleciało mu z głowy. – Dzięki za ratunek. Ładnie wyglądasz – zwrócił uwagę, że burza rudych, tłustych i poplątanych loków została ścięta i ładnie układała się do linii podbródka, co w połączeniu ze spinką kokardką nadawało dziewczynie ogromu uroczości. Uśmiechnęła się na komplement.

W tym momencie na podwórzu zaczęli pojawiać się Obdarowani. Niektórzy poprzypalani albo ranni po walkach z resztą piekielnej rodzinki. Corrigan rozpoznał wiele twarzy. Tima, Mathieu i Veronici, Marthy, Sereny… Wszyscy chcieli zobaczyć, jak ich dręczyciel, upiór, przed którym kryli się od kilkudziesięciu lat, który przelał wiele krwi ich braci, leży na trawie, bezbronny lub martwy, o ile Książę Piekła może umrzeć.

Nostalgię przerwała czarnoskóra Obdarowana. Carmen Cane – Corso przepchnęła się na środek z typowym dla siebie brakiem jakiegokolwiek taktu. Podeszła do człowieka, który wcześniej próbował swoich sił w walce z Lucyferem. Zbadała mu puls.

– Żyje – oznajmiła. Przewróciła nastolatka na plecy. Był najwyżej rok starszy od Corrigana.

– To Rudolf Wolvenstein – usłyszeli Callavis, która akurat się tam przecisnęła. – Tim, zabierz tego ambitnego gamonia do jego brata. Opiekuje się rannymi w salonie. Tylko – ostrzegła – do Victora, bo Juliette co najwyżej go skrzywdzi.

Umięśniony mężczyzna kiwnął głową. Wziął chłopaczka na ręce, jakby był szmacianą lalką i odszedł, a tłum rozstępował się przed nim. Wtedy Callavis podeszła do Corrigana. Chwilę stali przed sobą. Mimo, że górował nad nią wzrostem, czuł się strasznie mały pod jej spojrzeniem. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast nazwać gamoniem, rzuciła mu się na szyję. Czuł, jak jej pierścienie wbijają mu się w przecież nagie plecy.

– Sama nie wiem, czy chcę cię ucałować, czy zrzucić z dachu – wykrztusiła przez łzy.

Nie dane mu było odpowiedzieć, gdyż dwa metry przed nim znikąd wybuchnął ogień (odruchowo odskoczył, a przez uwieszoną na jego szyi Callavis upadł wprost na kość ogonową). Płonął przez chwilę, aż wyszła z niego istota bardziej przerażająca niż ten, którego dopiero co zniszczyli. Szkarłatna skóra, dwa grube rogi, wyrastające z czoła łysej głowy i skręcone w górę, oraz bystre, żółte oczy otoczone czarnym cieniem. Długi płaszcz i czarna koszula dziwnie pasowały do morderczego wyrazu twarzy.

Szatan we własnej osobie.

Po tłumie przeszedł szmer, ale Władca Piekieł nic sobie z tego nie zrobił. Podszedł prosto do leżącego i kopnął go czubkiem buta.

– Luci, jaja sobie robisz?

Obdarowani wstrzymali oddech, gdy Lucyfer okazał się mniej martwy, niż na to wyglądało. Uklęknął przed swym panem. Powrócił też do swojej ludzkiej postaci.

– Panie, robiłem tylko to, na co się zgodziłeś…

– Przez, kuźwa, 60 lat?!

Lucian zwiesił głowę.

– Jesteś najmniej użytecznym demonem w moim arsenale. Ośmieszasz całe Piekło swoją niekompetencją!

– Panie, przepraszam…

– Nie przepraszaj, tylko się ogarnij! Będziesz mieć na to setki lat na samym dnie. Zastanawiam się, jak ta biedna Ophelia wytrzymała z tobą przez tyle lat.

Prychnął i oboje rozpłynęli się w płomieniach.

Nikt ze zgromadzonych nie bardzo wiedział, co powiedzieć. W końcu jakaś dobra duszyczka zaproponowała imprezę, skoro pokonali swojego największego wroga i mają cały jego dom do dyspozycji, a pozostali chętnie na to przystali.

Nikt nie zauważył nastoletniej dziewczynki, która ze łzami w oczach obserwowała całe zajście.

\*\*\*

– Corrigan!

Właśnie rozmawiał z panem Rossem na temat Darów, których teraz może się nauczyć, gdy do pokoju weszli Simon, Caroline i starzec z celi. Chłopak od razu wstał i przycisnął ukochaną do siebie.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że nic Ci nie jest.

Pocałował ją w czoło, po czym oddał zapłakanej mamie.

– Miłości moja, czy to ty?

Odwrócił się. To był zachrypnięty głos starca. Patrzył wprost na przywódczynię Obdarowanych. Zastygła z otwartymi ustami. Kieliszek wina, który akurat miała w dłoni, z hukiem rozbił się o podłogę.

– Dogo…

# Epilog

Trzymając się barierki, obserwowały, jak fale rozbijają się o skały. Młodsza dziewczynka łkała.

– Mamo, kiedy zobaczymy tatę? – zapytała po raz tysięczny, odkąd uciekły przed żądnymi ich głów Obdarowanymi. Ophelia nie odpowiedziała, bo wiedziała, że z każdym słowem wzrasta szansa na wybuchnięcie płaczem.

– Niedługo, Aureline – odezwała się Jenny. Przycisnęła siostrę do piersi. – Niedługo wszyscy będziemy razem.

Pani Pherr popatrzyła na nie z rozpuszczającym się ze wzruszenia sercem. Mimo że od bitwy w ich domu minął niecały tydzień, nie mogła nie widzieć, jak starsza córka wydoroślała. Z jej oczu znikł dziecięcy blask, a pojawił się chłód, typowy dla starszych osób, które wiele już przeżyły.

– Idź pobawić się z Behem – rzekła. Dziewczynka pokiwała głową i podeszła do leżącego na trawie kota, a Jenny zwróciła się do matki.

– Pamiętasz, jak przyjechałyśmy tutaj z tatą?

– Tak.

– Świeciło słońce – wspominała. – Kąpałyśmy się w morzu, on rzucał nas w wodę. Ty wygrzewałaś się wtedy na kocu. Ulepiłyśmy nasz dom z piasku. Pamiętam, że stopił piasek i powstała z niego taka śmieszna, mała szybka.

Kobieta uśmiechnęła się na tamto wspomnienie. Przyjechali w miejsce, gdzie mieli całą plażę dla siebie i nie musieli ukrywać żadnej ze swoich mocy.

– Po zachodzie słońca przychodziliśmy tutaj, jedliśmy ogniskowe kiełbaski albo pizzę z ananasem, a tata opowiadał historyjki z wujkiem Sławkiem i wujkiem Rafałem.

– To dlatego tu nas przeniosłaś?

– Tak. Pomyślałam, że tu nie będą nas szukać i nigdy też nie zapomnimy o tacie.

Przez chwilę wsłuchiwały się w mruczenie Beha na kolanach Aureline.

– On wróci, prawda? – zapytała w końcu.

– Nie wiem.

Zamilkły, wpatrując się w morze. Jenny nagle przytuliła się do Ophelii, ściskając ją w pasie.

– Obiecuję ci, mamo – powiedziała z mocą w głosie. – Wydostanę go z Piekła, Księżyca, dna morza czy gdziekolwiek się teraz znajduje. Zniszczę wszystkich naszych wrogów. Nabiję na pale i spalę!

Spojrzała na zawziętą minę córki ze łzami w oczach. Czy poradzą sobie w tym dziwnym, błotnistym kraju, gdzie nie potrafią wymówić nawet nazwy miasta, w którym miały zamieszkać, chociaż za pomocą jednego słowa można było wyrazić każdą intencję?

– Chodź, mamo. Czas wracać – odezwała się. – Aureline, chodź.

Dziewczynka podniosła kota i podeszła do rodziny. Złapała siostrę za rękę. Jenny zamknęła oczy w skupieniu, a płomienie otoczyły ich ciała i przeniosły do zupełnie innego miejsca.

Koniec.